ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK V. NR 39/223

LONDYN, NIEDZIELA 30 WRZEŚNIA 1951 R.

JAN BIELATOWICZ

POETA POKORY

W 25-LECIE ZGONU JANA KASPROWICZA



Fr. Paulsch
Portret Kasprowicza

Ktokolwiek zna Tatry, pamięta zapewne Wierch Lodowy — w panoramie gór wyróżniający się wśród innych szczytów. Ów granitowy masyw choć nie odbiegł od rodziny tak płocho, jak małe dzieci Osobitej, Starorobociańskiego lub Trzydniowiańskiego Wierchu, przecież wydaje się najbardziej ze wszystkich tatrzańskich szczytów samotny. Samotny jest przez swój chmurny smutek, przez swą postać — wysoką ale krępą i zwalistą, przez nieobsychający lodowiec, przez odrębność błękitnej barwy, przez rzeźbioną urodę kształtów. Wielkie piękno bywa najczęściej samotne.

Nie przypadkiem Jan Kasprowicz upodobał sobie Wierch Lodowy, który jest Aniołem Stróżem jego najlepszej poezji. Poezja Kasprowicza powstawała w obliczu Tatr, zaglądających przez okna Harendy w każdą zapisaną przez poetę kartkę. Tatry obecne są w całej twórczości Kasprowicza, pulsują w niej jak krew.

O Wierchu, ty Wierchu Lodowy!
I znowu się zwracam do ciebie,
Olbrzymie rozbłękitniony
Na tym błękitnym niebie.

Stoisz naprzeciw mych okien,
Codziennie widzieć cię muszę,
Zaglądasz z swej dali w mą izbę,
A nieraz, zda mi się, w duszę.

Zda mi się, że nieraz się pytasz,
Skąpan w światłościach południa,
Czy jeszcze jest coś w mym wnętrzu,
Co drogę mi w słońce utrudnia.

Jana Kasprowicza możnaby w panoramie literatury polskiej przyrównać do samotnej piękności Wierchu Lodowego.

Między szczytami naszej romantycznej poezji a Kasprowiczem wznoszą się ku niebu dość liczne, ale niezbyt wyniosłe wierchy — łagodne, ukwiecone, trawiaste. Dopiero Kasprowicz rośnie w niebo granitem. Być może, że perspektywa czasów pozwoli dojrzeć w późniejszej literaturze polskiej szczyty wyższe od poezji Kasprowicza, ale to pewne, iż właśnie on wydźwignął naszą poezję z poziomu łagodnych roztoczy w krainę chmur.

Wielka poezja staje się zwykle strawą narodu, nawet jeżeli jest trudną. Jej wersety, obrazy, pojęcia i myśli wchodzą w organizm kultury narodowej w taki sposób, iż stają się obiegową mądrością i przedmiotem codziennego języka — bez świadomości myślących i mówiących ludzi, z jakiego pochodzą źródła. Taki też los spotkał poezję Kasprowicza.

Należy on do najwybitniejszych nauczycieli moralnych narodu i do głównych prawodawców jego smaku artystycznego. Poezja polska długo rosła w cieniu Kasprowicza, a później, jakby w obawie przed tym cieniem zbyt ostentacyjnie odchylała się od niego. Popularność poezji Kasprowicza możnaby porównać tylko z drogą laurową „Przedświtu“. Rzadki to wypadek w Polsce, aby już za życia poety ujęto jego twórczość w aż dwie — i to doskonałe — monografie. Autorami ich są Zygmunt Wasilewski i Stefan Kołaczkowski, przyczem dziwnym przypadkiem oba te dzieła są zarazem najwybitniejszymi pracami obu autorów. Znaczenie poezji Kasprowicza oceniono — znowu raczej wyjątkowo — już za jego żywota. Mało pisarzy polskich miało tyle uznania, niewielu doczekało się tylu zaszczytów i godności. Od Mickiewicza nikt nie umierał w takiej sławie. Ale chyba największym zwycięstwem poety było trwające po dziś dzień w poezji, najpierw wybitnej, a później w ludowej, „kasprowiczowanie“, pisanie stylem i naśladowanie problematyki wierszy Jana Kasprowicza.

Zygmunt Wasilewski sformułował jedno z najsłuszniejszych zdań, jakie wypowiedziano o twórczości Kasprowicza: „Nigdy miłośnikowi poezji polskiej nie dane było brać większego współudziału w pracy duchowej poety, jak przy czytaniu Kasprowicza.“ Kasprowicz zmusza do pracy duchowej. Pisał z trudnością i w męce. Tomiki wydanych przez niego dzieł opasują klamry lat 1889 i 1926. Jak na owe 37 lat twórczości puścizna poetycka Kasprowicza nie jest zbytnio obfita. Ale zato niewielu poetów sięgało swą myślą tak głęboko i nie wznosiło się uczuciem tak wysoko. Nie są to zapewne szczyty artyzmu — daleko jest Kasprowiczowi do poetyckich wizji i mistrzostwa formy naszych romantyków — jest jednakże w tej poezji zniewalająca prawość i wierność poetyckiemu posłannictwu. Poezja Kasprowicza nie jest zabawą ni rozrywką, jest to twarda i ciężka praca ducha. Kasprowicz był poetą powołanym. Całe swe życie, każdy stuk serca i zmrużenie oczu przetwarzał w poezję. Był pod tym względem podobny Słowackiemu.

Sporo pokładów poezji Kasprowicza można uważać za złoża archaiczne, posiadające dziś jedynie wartość dla badaczy. Taką jest niewątpliwie, o znaczeniu tylko historycznym, jego wczesna twórczość pozytywistyczna, naturalistyczna i społeczna. Dzisiejszego czytelnika, wertującego karty tomików Kasprowicza porwie zapewne dopiero „Ballada o słoneczniku“, a potem „Krzak dzikiej róży“ — utwory wiecznie żywe i wiecznie młode.

Pod wieloma wszakże względami Jan Kasprowicz jest poetą nowoczesnym, prekursorem nowoczesności. We współczesnej poezji angielskiej Eliota oraz poetów amerykańskich łatwo odkryć ton bliski twórczości Kasprowicza. Jest nim wysiłek myśli, poszukującej moralnego sensu istnienia. Jest to myśl nie tyle metafizyczna, co moralna, dociekająca istoty moralnego ładu świata. Filozofia Kasprowicza nie jest już dziś, szczególnie w jej dialektyce panteistycznej i monistycznej, porywająca ani nawet interesująca. Płonie natomiast w niej niewygasłe ognisko moralne.

Jan Kasprowicz jest przede wszystkim poetą religijnym. Możnaby niemal całą jego twórczość określić mianem religijnej. Stefan Kołaczkowski znakomicie scharakteryzował Kasprowiczowską religijność. Nie jest to mianowicie religijność dogmatyczna, lecz nieustanne poszukiwanie Boga, „wiara w wieczystość, bezwzględne istnienie pewnych wartości, które nadają moralne znaczenie naszemu życiu i naszym ludzkim dobrom, wreszcie ześrodkowanie całego życia uczuciowego około tych bezwzględnych wartości.“ Pomijając oczywiście tematyką kultową, która wypełnia wiele strof Kasprowicza, możnaby określić religijność tego poety właśnie jako nawskroś nowoczesną.

Łatwo dziś sądzić z wyżyny czasu i wytykać poecie bluźnierstwa „Hymnów“ i wszelkie dywagacje filozoficzne. Taka była epoka. Szukało się wówczas Boga nie ze światłem Ducha św., lecz w lesie rozpaczy, w gąszczu potłuczonych prawd, w zalewie fałszywych idej, w łunie złudy filozofii idealistycznej. Jeśli mimo to Kasprowicz wydostał się na równe gościńce, jeśli chwycił mocną stopą bród prawdy, jego tedy pozostanie zasługą ocalenie chrześcijańskiego oblicza polskiej poezji. Kasprowicz jest tytanem polskiej literatury, który tradycję wiary i obyczaju przejął z rąk romantyków i podał ponad morzem czasu potomnym.

Jest to poeta w każdym drgnieniu duszy chrześcijański. Choć w „Księdze ubogich“ oznajmia, iż „przestał się wadzić z Bogiem“, życie Kasprowicza wypełniają i przed „Księgą ubogich“ i po niej te „serdeczne zwady“ nie mające końca. Grzesznik — jak rzekł Charles Péguy — stoi w środku chrześcijaństwa. Wadzenie się z Bogiem, byle w pokorze, jest mniejszym złem, niż zapomnienie o Bogu. Z Bogiem wadzą się chrześcijanie. Był nim i Jan Kasprowicz.



Tatry

Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tylkom korzystał z prawa
Wojującego człowieka.

Jeno, że dzisiaj to widzę,
W patrzeniu dosyć już biegły,
Czego w zamęcie walki
Źrenice me nie dostrzegły!

Nie ruszał ci on naprzeciw
W rynsztunku wspaniałym dziwie,
A tylko na tronie Swym siedząc
Uśmiechał się pobłażliwie.

To odkrycie było zwycięstwem poety. Było to bowiem odkrycie Bożych zamiarów, odnalezienie pokory, przystojnej człowiekowi. Natury bujne, kochające życie i wielbiące dzieła stworzenia popadają często w błąd, który każe im pełni królestwa Bożego szukać na tym świecie. I nie masz w tym bluźnierstwa, lecz tylko błądzenie. To był też grzech Jana Kasprowicza.

Nie zgrzeszył natomiast nigdy Kasprowicz niewiarą w istnienie Boże. Tęsknił żarliwie do Jego miłosierdzia. Był to poeta łaknący miłosierdzia. Nie ma w poezji polskiej piękniej wyrażonej wiary w Boskie miłosierdzie ponad wiersz:

Cokolwiek o tym powiecie,
Przed wami nie stanę bosy.

Grzech jest niekończącą się boleścią całej poezji Kasprowicza. „Moja pieśń wieczorna“ jest generalną spowiedzią ludzkości. Tymi to właśnie cechami religijności, pokorą i wiarą w Boże miłosierdzie i walką o Jego królestwo na ziemi, zbliża się Kasprowicz do współczesnych pisarzy katolickich. Wiara Kasprowicza nie była wygodną ławką w kościele, ale pątnictwem na kolanach do Domu Boga.

„Księga ubogich“ jest najwyższym wierzchołkiem twórczości Kasprowicza, jak oblodzony wierch, oświecony zorzą. Wiersze tej księgi są jak bryły lodu. Można ją nazwać księgą mądrości, zbiorem prawd, które powstały z walk i poszukiwań w ciągu utrudzonego żywota. Ale tytuł księgi jest najwznioślejszym wierszem. Mądrość, to właśnie ubóstwo ducha, pokora. W Kasprowiczu dostrzegają krytycy siłę, wojowniczość, naturę buntu. Kasprowicz jednak jest przede wszystkim — poetą pokory.

Na rzece mej, w wieczność płynącej,
Wspaniałe nie stoją mosty,
Kładka li z chwiejną poręczą,
Stawiał ją człowiek prosty.

Nie przejdą ci po niej tłumy —
Najmniejszy wiew ją porusza,
Lecz może na tamtą stronę
Spojrzy z niej jedna choć dusza.

Czy zoczy świat nowy, ja nie wiem:
Mgieł ja tych nie rozwieję,
Co drzemią na drugim brzegu,
Choć tę żywiłem nadzieję.

— — — — — —

Spraw to, ażebym zawsze
Umiał dziękować Ci, Panie,
Że sobie rzępolę, jak mogę,
Że daję li, na co mnie stanie.

I niech się zawsze przyznaję
Choć do najskrytszej przewiny
I wielką niech czynię spowiedź
W obliczu ludzkiej rodziny.

I niechaj pomnę w mym życiu,
Czy w bliskim, czy też dalekim,
Żem człekiem jest przede wszystkim
I niczym więcej jak człekiem.

Oto w tych słowach odsłania się samo dno duszy Kasprowicza. W pokorze skąpana jest jego dusza, a z nią i jego wielka twórczość.

Rozwój poezji Kasprowicza jest drogą pokory. Prostota jego wierszy, ustawiczne upraszczanie formy, przy wielkim talencie formalnym (który się objawił w wirtuozerii przekładów), wyrastają nie z żadnych innych pobudek, ale właśnie

(Dokończenie na str. 3-ej)

NA HARENDZIE

Bardzo skromnie i bez rozgłosu przeszła w Kraju 25 rocznica zgonu Jana Kasprowicza. W regionalnym miesięczniku Polaków w Czechosłowacji p. n. „Zwrot“ znaleźliśmy opisy cichego obchodu rocznicy na Harendzie, dziś zmienionej w muzeum.

Opisy te — bez żadnych zmian — przytaczamy poniżej.

Jan Kasprowicz (ur. 1860 na Kujawach) zmarł na Harendzie 1 sierpnia 1926 r. W bieżącym więc roku 1 sierpnia minęło lat 25 od Jego zgonu. Postanowiłem sobie, a miałem po temu okazję, że udam się w tym dniu do poronińskiego osiedla, nazwanego Harendą, by nasycić oczy poetyckim światem Kasprowicza z ostatnich lat jego życia, a także dlatego, by być świadkiem uroczystości, związanej z tą rocznicą, jeśli uroczystość taka się odbędzie. Pobudką do mojej pielgrzymki była niedawna lektura „Dziennika“ Marii Kasprowiczowej, żony poety.

Z Zakopanego ulicą Kasprowicza dochodzimy do osiedla Harendy, gdzie łatwo już znaleźć sławną kasprowiczowską siedzibę. Pierwszą budowlą, stojącą na działce Kasprowicza, jaka rzuca nam się w oczy, to zabytkowy kościół drewniany z XVII wieku, przeniesiony na Harendę w r. 1948 z Zakrzowa pod Wadowicami. Mnóstwo desek dokoła świadczy o tym, że odbudowy na nowym miejscu jeszcze nie wykończono. U wejścia do kościółka wisi zawiadomienie (ręką Jarockiego zapewne wykonane), że w dniu 1. VIII. 1951, w 25-tą rocznicę zgonu J. Kasprowicza, odbędzie się w tym kościółku msza żałobna za Jego duszę.

Wchodzę do barwnego wnętrza drewnianej świątyni, w której msza żałobna już się rozpoczęła. Ludzi w kościółku niewiele. W środku stoi grupa góralek i śpiewa pieśni żałobne, przed ołtarzem parę krzeseł, na których siedzi najbliższa rodzina, a więc wdowa po poecie, dwie córki, zięć poety malarz Jarocki (nawiasem dodajmy, że to on właśnie mozoli się nad odtworzeniem uszkodzeń polichromii kościółka) i wnuki. Jest też paru pisarzy: Makuszyński, Morstin, Meisner, Brandstaetter i Otwinowski.

Po mszy garstka ludzi opuszcza kościółek i przechodzi w stronę stojącego opodal mauzoleum Kasprowicza, zbudowanego z bloków granitowych na wyniosłym brzegu Białego Dunajca. Ogarnia nas chwila uroczystej ciszy... Panorama Tatr, szum potoku w dole i szum drzew, zieleń drzew i trawy, a na jej tle biel granitowej budowli, upalne słońce wreszcie i daleki gwar młodzieży, odpoczywającej w cieniu drzew nad potokiem. Mauzoleum w takim otoczeniu stwarza raczej nastrój kaplicy przydrożnej, wrośniętej w krajobraz... Górne pięterko mauzoleum stanowi istotnie kaplicę, w której drewniany ołtarzyk Szczepkowskiego ma w sobie coś z rzeźby ludowej. Dolne, obszerniejsze pięterko — to właściwy grobowiec, który w tym otoczeniu na grób zgoła nie wygląda. I gdyby nie kwiaty z rozłożoną szarfą „Drogiemu Ojcu — córki“ i świadomość, że pod tą kamienną posadzką, na której stoi urna, spoczywa poeta — myślelibyśmy, że to piętrowy kościółek, którego piętra podyktował spadzisty teren. Mauzoleum w swej szlachetnej prostocie i monumentalności zarazem wywiera na każdym wielkie wrażenie.

Parę kroków od mauzoleum, na tym samym wyniosłym brzegu, stoi wśród drzew drewniany dom Kasprowicza. Ten, kto zna ów domek z ilustracji, z łatwością go rozpozna, zauważy też jednak zmiany, jakie tu zaszły w ciągu ćwierćwiecza. Domek otoczyły wysokie drzewa — tak, że znika on jak gdyby w zieleni, a dawniej widoczny był z daleka. Kamiennych schodów na mostek nie używa się już dziś, gdzy więc, z których schody są zbudowane, nieużywane i pozostawione samym sobie przestają być schodami...

Mała, drewniana tabliczka na budynku głosi, że jesteśmy w „Muzeum im. J. Kasprowicza“. Podane na tabliczce godziny zwiedzania tego muzeum zezwalały nam na wejście do środka, zresztą znalazło się także parę innych osób, które muzeum chciały zwiedzić. Opiekunką muzeum (i jego mieszkanką zarazem) jest żona poety, Maria z Buninów Kasprowiczowa. W jej towarzystwie, z jej objaśnieniami, przechodzimy przez niewielkie pokoiki, pełne pamiątek po autorze „Księgi ubogich“. Wewnątrz „Harendy“ niejedno się zmieniło. Znikła wspaniała biblioteka poety-bibliofila, pokój zaś, w którym się mieściła, przedzielono ścianą na dwoje. Bibliotekę wraz innymi pamiątkami i obrazami przekazano w parę lat po śmierci poety do Muzeum Miejskiego w Poznaniu, gdzie w czasie ostatniej wojny wszystko uległo całkowitemu zniszczeniu. Obawiano się o jej losy w drewnianym budynku, a gdyby tu pozostała, z pewnością wyszłaby z wojennej pożogi cało.

W Harendzie książek jednak jest w dalszym ciągu dużo. Widzimy je prawie w każdym pokoiku: w pierwszym stoją na drewnianej półce między innymi książkami dzieła Kasprowicza (6-tomowe wydanie lwowskie z r. 1912, wydanie Kołaczkowskiego z 1930 r w 22 tomikach), w następnym pokoiku uginają się półki pod ciężarem książek, będących własnością „gaździny“ z Harendy (widzimy dużo książek rosyjskich, jako że p. Kasprowiczowa jest Rosjanką z pochodzenia), a w pokoiku trzecim, gdzie kiedyś mieściła się biblioteka i pracownia Kasprowicza, cała ściana śmieje się do nas rzędami książek. To biblioteka podręczna jednego z pisarzy polskich, złożona tutaj w postaci depozytu. Dobór książek jest w niej bardzo celowy i praktyczny, toteż p. Kasprowiczowa zaznacza, że to naprawdę „książki do czytania“, a nie do zajmowania tylko miejsca na półkach.

Swą opowieść o życiu i twórczości Kasprowicza najchętniej snuje p. Kasprowiczowa w pokoiku środkowym, z którego ścian patrzy na nas kilka portetów Kasprowicza (w tym dwa, wykonane przez Stan. Ign. Witkiewicza), gdzie znajduje się kilka rzeźb (m. in. olbrzymie popiersie, wykonane przez artystę-rzeźbiarza Hyłę) itp. Ludzie zachowują się tu tak, jak gdyby nie chcieli przeszkodzić poecie przy pracy: mówią szeptem, niczego nie dotykają, nigdy też, pomimo iż książki, fotografie i inne drobiazgi rozłożone są tak, jak w mieszkaniu prywatnym, nic tutaj nie ginie, choć ludzi różnych przychodzi tu dużo. Mimowoli, choć znajdujemy się wśród realnych rzeczy, odczuwamy tchnienie poezji i uroku jakiegoś, emanującego jak gdyby z wszystkiego, co nas tu otacza.

Dwudziestopięciolecie zgonu Kasprowicza zgromadziło na Harendzie garstkę ludzi. Jest paru pisarzy, którzy po nabożeństwie zajęli ławę na ganku, jest też kilka pań, przybyłych w tym dniu w odwiedziny do p. Marusi. Uroczystość nie przekroczyła ram uroczystości rodzinnej. Goście odpoczęli na ławie, napili się herbaty i opuścili Harendę. Gospodyni zresztą nie ma czasu, by zatrzymywać i bawić gości, bo przychodzą i odchodzą różni inni ludzie, chcący oglądnąć kasprowiczowską Harendę.

Jan Kurzelowski



Dom Kasprowicza na Harendzie — dziś muzeum jego imienia

Drugi opis Harendy ze „Zwrotu“ drukujemy na trzeciej stronie pt. „Osobliwe muzeum“.

ZOFIA KOZARYNOWA

POCIESZENIE (1)

Opowiadanie

MARTA przywykła już do rodzaju swej pracy i zobojętniała na punkcie drobnych bied, o które potykał się jej dzień powszedni, owszem wmówiła w siebie, że te przeciwności należy interpretować jako walkę i codzienne zwycięstwo. Poza tym nie wyrzekła się wiary, że dawne współżycie z Józikiem nie tylko powróci, ale przejdzie w piękniejszą fazę, gdy wreszcie oboje będą wracać do siebie, po prostu, jak do „domu". Tymczasem jednak właśnie ten codzienny powrót był najcięższą chwilą w dniu.

Ostatnie mieszkanie u Anglików było nawet lepsze i tańsze od innych, uprzejmi i dyskretni gospodarze, dużo gorącej wody, pokój na oko przyzwoity, a wszędzie po kątach czysto. Co pewien czas Marta i Józik robili bilans tych dogodności i przyznawali, że wcale nie jest tak źle. Ale w czarnych godzinach Marta buntowała się dziko i milcząco przeciw wszystkiemu, co nie było „tak złe". Powinno być dobrze, nie zaś „tak" lub „nie tak" źle. Cóż z tego, że z zewnątrz dom przedstawiał się elegancko za pasmem zieloniutkiego trawnika, że przed progiem błyszczały cegiełki natarte czerwoną pastą i że lśniły jak złoto mosiądze klamek i dzwonka, skoro z chwilą otwarcia ładnie polerowanych drzwi uderzał w głowę zimny zaduch wnętrza. Niezmienne tło zapachów stanowiła rozgotowana brukselka i smażone „kippers", urozmaicane skwarzącym się bekonem i zawiesistymi oparami mdlących jarzyn. W tym gęstym powietrzu wisiał wieczyście podniesiony głos radia. Otwierając drzwi do wynajmowanego pokoju Marta wchodziła w martwy chłód, przechowujący w rozcieńczeniu tamtą, przedpokojową aurę, nadaremnie tępioną wietrzeniem, które musiało być ostrożne ze względu na kubły ze śmieciem pod oknami.

Pokój był od północy, zawsze zimny, a meble, choć na pozór wygodne, chwiały się, miały zgniecione i wykręcone sprężyny i wzajemną obojętność rzeczy przypadkowo zebranych i obcych sobie. Miały też gnębiący koloryt, zgniło buraczkowy albo szaro-zielony jak zwiędła rezeda. Dywan natomiast żółcił się w obrzydły, brudno-morelowy sposób, przypominając obozową brukiew. Najbardziej odpychający był fotel w kącie, o stalowej barwie bezkresnego, zimnego nieba nad pustkowiem. Wieczorem światła było mało i zawsze w oczy, jak wiatr biednemu człowiekowi. Marta co prędzej zapalała piecyk gazowy, który parzył, nie rozgrzewając.

Zawsze jeszcze dobrą chwilę czekała na męża, na tego męża, do którego tak nieludzko tęskniła w okresie obozowej rozłąki. Wtedy oboje tęsknili jednakowo, każde na swej pryczy oddalonej niewiadomą przestrzenią, nieprzytomnie, histerycznie, z jednaką gorączką w oczach i w gardle, jednakimi szeptanymi w półśnie słowami. Kiedy Marta dosiadywała potem ostatnich miesięcy w obozie po uwolnieniu, on jako cywil na robotach zdołał dotrzeć w tamtą stronę i zaczajony, zakochany, układał każdy dzień tak, aby chociaż chwila i chociaż krok zbliżył go do niej. Marta drapieżnie chwytała co tylko było lepszego do zjedzenia żeby mu wetknąć, posłać, przekazać. Do tej Anglii przepychali się na nic niepomni prócz tego, że byli razem i że nikt już nie mógł ich rozdzielić. Pozwalali rzucać sobą jak bagażem z transportu na transport, taszczyli się i gramolili gdzie im kazano, byle zatonąć oczami w oczach, oprzeć się ramieniem, docisnąć szczelnie biodro do biodra, kolano do kolana.

Józik wracał nieco później, bo z dalsza, zresztą wolał to: nie znosił surowego chłodu ogarniającego nieprzyjaźnie w chwili wejścia.

— Nie pisała Alina? — zapytywał.

— Nie — odpowiadała Marta, albo — Tylko parę słów — albo znów — Owszem, zaraz ci dam list.

Jak gdyby ich życie zależało od tej nieobecnej Aliny.

W nieszczelne drzwi walił głos stale włączonego radia.

— Ani odpocząć, ani rozmawiać, ani spać — zrzędził Józik. — Muzykę człowiek znienawidził przez tę cholerę.

— Nie narzekaj, gdzie indziej było gorzej. Czysto jest, dzieci nie tłuką się i nie wrzeszczą.

— Dick Barton za nie wrzeszczy. Czysto, masz rację, wszystko tu czyste prócz powietrza.

Któregoś wieczora Marta przywitała męża słowami:

— Alina już finalizuje starania o wyjazd. Wejdź, wejdź, zlituj się, kalafior gotują.

— Wszystko jedno co gotują, zawsze śmierdzi — burknął Józik — A nie pisze, kto ją tu właściwie sprowadza?

— Kiedyś wspominała przecie o tej rodzinie ojca w Manchester. To czysta formalność, ona sama ustali się w Londynie, tak wynika z jej listów. Nie bój się, już Alina da sobie radę — dodała Marta radośnie.

Wieczorne obrządki (Marta gotowała w kuchni przed gospodynią) szły piorunem, potem Marta siadała do swego „spare time job"; było to klecenie abażurów, za bardzo małym wynagrodzeniem, dla jakiegoś ciemnego pośrednika. Józik rozkładał się z rysunkami i wszczynał codzienne pomruki o złym świetle, niewygodnym stole, wadliwym ogrzewaniu i cholernym życiu, po czym długo temperował ołówki.

Na Marcie skóra ziębła z hamowanej niecierpliwości, ale milczała. Dopiero gdy Józik skończył swe leniwe zabiegi i zasiadł nad papierem, z palcami woranymi w czuprynę niemal desperackim gestem, zapytywała szeptem, żeby barwą głosu nie zdradzić irytacji:

— Masz jaki projekt?

— Nie — odpowiadał posępnie. — Cholera.

Ten przebieg przygotowań powtarzał się, z drobnymi odchyleniami, co wieczór.

Józik utknął w studiach po wcześnie zdanej maturze, w przeddzień wojny, a za Niemców pracował w przemyśle zabawkarskim. Miał pewną pomysłowość, nieźle rysował i opanował technikę projektowania modeli, a teraz abażurowy pośrednik Marty gotów był zainteresować się jego zabawkami, byle były oryginalne, dowcipne, kupione tanio i drogo odprzedane. Ale Józikowi „nie szło". Miał masę pomysłów, ale cóż. Gdyby to człowiek tak mógł jak chce. Cholera.

— Że ona nigdy nic jasno nie napisze. A czyś ty jej wyłożyła sprawę mieszkaniową?

— Nie. To się osobiście omówi, niech tylko raz przyjedzie i puści się w ruch. Zobaczysz. Ty w tym tygodniu ile odkładasz, Józik?

— Ja? No, jeżeli dociągnę do siedmiu sześć, to będzie cud.

— Bój się Boga. Ja funta odkładam.

— No ty! ty! Zarabiasz na tych abażurach, a zresztą co, gazetę ja kupuję, prawda, za przejazdy przecie też płacę te dwa peniaki więcej, to niby się nie liczy?

Marcie zrobiło się przykro i wstyd, przy tym rozrzewniła się, bo Józik zaperzony wyglądał jak dzieciak i tłumaczył się jak dzieciak. Rzeczywiście odmawiał sobie wszystkigo, nie palił, nigdzie nie chodził, byle uciułać na to mieszkanie.

Nawróciła do poprzedniego tematu.

— Alina na pewno wydębi jakieś pieniądze, czy od tej rodziny, czy skąd. Ona zawsze ma, nawet wtedy kiedy nic nie ma i o nic nie dba. Przez całą wojnę uchowała te swoje cudowne butony brylantowe. Ach Boże, Boże! — uniosła się nagle Marta. — Żeby święta ziemia wyrzuciła tę Niemrę przeklętą, tę Hildę, za to że wypatrzyła je u mnie i pokazała przy rewizji. Ostatnia rewizja, najostatniejsza, czy ty to sobie wyobrażasz! Na wszystkich poprzednich mi się udawało, a na tej ostatniej wpadłam przez Hildę. Ta druga, Paula, była dobroduszna, patrzyła przez palce i nawet pomagała dziewczętom chować, co która miała.

Nigdy nie zrozumiem, po co Alina tobie wpakowała brylanty, zamiast sama ukryć i pilnować, skoro to był cały jej majątek. Taka odpowiedzialność.

— To nie, Józik. Tego nie można tak ujmować. Wszystko między nami było płynne i brylanty były tak samo moją własnością jak jej, a znów jeśli mnie się udało zdobyć parę kartofli, razem gotowałyśmy i razem jadły. Po tej nieszczęsnej rewizji ja ryczałam na pryczy aż zapuchłam, a ona, żebyś ją widział! Ani drgnęła. Bardziej by ją zmartwiła dziura w bucie.

— Ciekawe — zauważył Józik — że takie różne szczegóły wyłażą dopiero po latach. Dawniej tylko raz wspomniałaś, że chowałaś w margarynie jakąś biżuterię Aliny i że ci rąbnęli na samym końcu. A teraz i to, i tamto, i owo.

— Józik — prosiła Marta — staraj się skupić i rysować te zabawki. Niechbyś choć z szylinga co wieczór wyrobił, to już jesteśmy bliżej mieszkania.

Ale dlaczego tobie oddała? — upierał się. — Nie byłyście nawet w tym samym baraku, mówiłaś?

— Nie, i właśnie, nad Aliną miała pryczę Volksdeutscherka Raabe, nie można jej było dowierzać, choć była w powstaniu, ze strachu naturalnie, a potem ugmatwała się i znów ze strachu nie przeszła do Niemców. Zresztą Alina naprawdę nie dbała o te brylanty, zostawiłaby je w Warszawie gdyby nie ja. Jej dom jeszcze stał i mogła coś trochę zabrać, mnie dała zmianę bielizny, różnym koleżankom inne rzeczy, co było to porozdawała. Namówiłam ją, żeby spróbowała wziąć coś z biżuterii, wzięła, ale już się ani zatroszczyła. Kto to wszystko dziś wytłumaczy, dzisiejszym londyńskim językiem, w tej ulicy, w tym domu, w tym życiu, w tym klimacie, na tej planecie!

Józik drapał się w głowę tępą stroną ołówka, trochę zakłopotany wielomównością żony, która zwykle oklejała swe abażury w milczeniu.

— Zostało ogólne wrażenie — westchnęła Marta — coraz ogólniejsze.

— Wrażenie czego? — spytał Józik.

— Tego zrozumienia, związania, nawet nie określę... jakiejś jedności. Wrażenie, że było życie za życie, wszystko za wszystko, czy wszystko za nic? Tylko życie się liczyło, było zarazem bez ceny i bez wartości. Wszystko pobankrutowało potem, ale to się nie może przesilić; możesz to nazwać wiarą w człowieka? Po co zresztą gadać. Słuchaj, Józik, może byś spróbował wyciąć sobie najpierw modelik z tektury, a potem dopiero robić obliczenia i rysować. Lepiej ci chyba pójdzie od praktyki do teorii niż odwrotnie.

— W Warszawie robiłem rysunki, i szło.

— Bo musiałeś, Józik, bo musiałeś.

— Co ty mówisz, że ta przyjaźń, czy solidarność ludzka nie przesili się! Ładną mamy tutaj solidarność, co? Każdy do siebie ciągnie.

— O to mi idzie, że co przetrwało tamtą próbę, to już jest istotne. Gdyby i w to przyszło zwątpić, mój Boże.

— A masz, ta, której tak szukałaś, ta z filmowym pseudonimem, aha Śnieżka, ani się odezwała na żaden z twoich listów, a żyje i prosperuje. A ta twoja Helenka, co?

— Helenka pierwsza się zgłosiła, nie pamiętasz?

— Pieniędzy pożyczyć.

— Tani cynizm! — szarpnęła się Marta.

— Na drogi mnie nie stać — odwarknął tak zabawnie i znowu tak dziecinnie, że Marta parsknęła śmiechem. Zachował prawie bez zmiany dziecinny wygląd i sposób bycia, który miał dar rozbrajania Marty odkąd zakochał się w niej, równej wiekiem ale bez porównania dojrzalszej. Był, jak dziecko, odważny ze strachu, nieostrożny przez sztubacką brawurę, taki sobie tuzinkowy bohater, od jakich roiła się ulica i las. Marta nigdy nie brała na serio tego rzucania się. Może już wtedy podświadomie wyczuwała, jaką szkodę w przyszłej opinii wyrządza walczącemu społeczeństwu błyskotliwa fanfaronada smarkaczy paradujących w oficerskich butach, w „oficerkach", jak się mówiło. Mimo to powzięła wtedy nadmierne mniemanie o jego inteligencji i zdolnościach, które rzeczywiście potencjalnie istniały, ale zatrzymane w rozwoju nie ruszyły z miejsca. Tylko wejść w zdrowe warunki — przyrzekała sobie Marta — tylko zdobyć tę trochę niezależności. Obiecywała sobie pchać i ciągnąć i holować, aż do wyrwania Józika z tej stagnacji, w której nabierał przebrzydłych cech byłego inteligenta. Byle wyjść z życia zapchanego wyłącznie głupią pracą, bez książki i bez ludzi.

Nareszcie Alina wylądowała i zapowiedziała przyjazd do Londynu.

Józik zapomniał o dąsach na wojenne przyjaciółki żony, o które był po prostu zazdrosny. Trochę pamiętał Alinę z warszawskich czasów, kiedy imponowała mu pewnością siebie zamożnej, ładnej i dobrze ubranej dziewczyny.

— Nieźle mieszkacie — zauważyła Alina, gdy Marta w radosnym podnieceniu nie wiedziała, jak ją witać — tylko jakiś niemiły swąd, kuchnia obok, czy co?

— Nie siadaj na tym fotelu, dziecko. Nie, ten też się zapada. Tu możesz bezpiecznie, proszę cię. Kuchnia daleko, ale zimny korytarz tak wchłania odory. A meble, jak widzisz, przeważnie niesiadalne.

— No, patrzaj, Marcysia, po tylu latach! Musimy się ugadać za wszystkie czasy. Przejścia, wspomnienia, plany! Pięć lat, prawda, Marcysia? Fantastyczne. Pięć lat, każda w swojej stolicy.

— Dlaczego pani ją nazywa Marcysią?

— A panu, przepraszam, co do tego, panie młodszy? To są nasze babskie, obozowe sprawy i prywatne nawyki.

Józik prostował się i głupio uśmiechał, lekko zaogniony od zalotnego spojrzenia Aliny.

Marta westchnęła.

— Ty w Paryżu żyłaś na pewno w stolicy, ale my w Londynie, jak na głuchej prowincji. Do pracy, z pracy, robota w domu, w wolne dni na gwałt pranie, prasowanie, szycie. Smród z przeproszeniem w domu, smród z przeproszeniem w podziemce.

— A jak uważam, to i gorycz z przeproszeniem tu panuje, i kwas nie lada, nie tylko wyżej wymieniony smród.

Marta nie odpowiadała.

— Nie wiadomo od czego zacząć... tyle do mówienia...

— Zwykle w takich razach zaczyna się od ostatniego odcinka dojazdu autobusem — rzekła Alina.

— No więc powiedz, czy miałaś dobrą podróż? A czy ty w ogóle znałaś Londyn? Po angielsku mówisz? Nigdy się dawniej nie zgadało...

Zdawkowe pytania wywołały zdawkowe odpowiedzi.

— Ale że pani mogła zostać w Paryżu i nie chciała, no, no! — dziwił się Józik. — Już ja bym stamtąd nie wyjeżdżał.

— Czasem coś się i tak może złożyć.

Rozmowa szła jak z kamienia.

— Pomyśl, że ja nawet nie wiem, jaką ty herbatę pijesz — mówiła Marta śmiejąc się nerwowo. — Mocną?

— Jak najbardziej. A pamiętasz tę obozową zupę z zielska, której nawet najgorszy głód nie przemógł? Pan długo był w niewoli? — zwróciła się do Józika.

— Ja? Wcale. Ja byłem tylko na robotach, i krótko, już na samym końcu. Bo ja...

— Ach tak. A pamiętasz Marcysia — sięgnęła znów po jakieś obozowe wspomnienie, z wyczuwalnym wysiłkiem w głosie.

Marta potakiwała z roztargnieniem, Józik pochrząkiwał i śmiał się nie w porę krótkim, rżącym śmiechem.

— A jak teraz mieszkasz? — spytała Marta.

— Tak sobie — wymijająco zbyła Alina. — Tymczasowo. No a wy ustaliliście się tutaj? — Mimowoli pociągnęła nosem.

— O nie. Już pomijając zapachy, ten pokój był wynajęty bezdzietnemu małżeństwu, a my... za pół roku przestaniemy być bezdzietnym małżeństwem.

— Gratuluję, gratuluję. Odważna to ty zawsze byłaś, Marcysia.

Marcie zrobiło się chłodno.

— Ale skoro już o tym mowa, posłuchaj, Alinko. Myśmy sobie trochę odłożyli i mamy na oku okazję mieszkaniową wprost niebywałą, tylko trzeba zawczasu złożyć zespół, bo dla nas to trochę duże i, mimo wszystko, trochę drogie. Szczegóły później. Tyle ci powiem, że lokator emigruje, a właściciel domu, taki cieśla, który pracował kiedyś u ojca i rzewnie go wspomina, gotów jest nam wynająć bez odstępnego. Ale musimy sfinansować koniecznie przeróbki i instalacje, rozumiesz, no i meble kupić, to razem wyjdzie sporo. Rozumiesz, Alina?

— No rozumiem, cóż tu jest do nierozumienia.

— Więc właśnie. My tak czekamy na ciebie, żeby wspólnie obejrzeć i zdecydować. Za jakie cztery do pięciu miesięcy mogłoby być gotowe.

— Od tej chwili zaczynam nie rozumieć. Po co? Macie takie zaufanie do mego znawstwa? Nie znam się na instalacjach.

— Ależ dziecinko! My chcemy ciebie spropagować, ty jedna jedyna na świecie możesz wspólnie z nami zamieszkać. Nie domyśliłaś się?

— Bon alors! To nadzwyczajne. Ja nic nie rozumiem, ty nic nie rozumiesz, ja się nie domyślam, ty się nie domyślasz. Marcysiu serce, a po cóż, myślisz, ja bym przyjeżdżała do waszego Londynu? Przecie ja wychodzę tu za mąż. Przecie to stało między wierszami moich listów chyba wyraźniej, niż gdybym wołami wypisała. Ja czekam na grad pytań na temat mego wybranego, a ona tymczasem... fantastyczne! Nic nie wnioskowałaś z moich napomknień o tęsknocie, o oddaleniu, o rozstaniu, o wspólnej przyszłości? Chyba że... — urwała, widząc na twarzy Marty potwierdzenie niedopowiedzianego pytania: tak, Marta odnosiła to wszystko do siebie.

Po chwili niezręcznego milczenia Alina zaśmiała się tym gardłowym, zmysłowym śmiechem, który, jak kiedyś określił Józik ze swą sztubacką naiwnością, „szalenie działał na mężczyzn", i przechylając się ku Marcie zagarnęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

— Najmilsza, nieoceniona! Stara poczciwa Marcysia!

Po raz pierwszy od przyjścia Alina odprężyła się, stając się na chwilę bezpośrednią i pieszczotliwą jak dawniej. Martę opanowało wzruszenie, wnet ochłodzone wyczuciem protekcyjności w tonie i ruchu przyjaciółki.

— To znaczy że nic z tego — westchnęła.

— Z czego nic, Marcyś?

— Z marzeń o wspólnym mieszkaniu.

— Bo też, gdzie sens stawiać wszystko na jeden numer, pozwól sobie powiedzieć. Nic o mnie nie wiecie i robicie projekty, ale, projekty! Zaraz planowanie, kalkulacje oparte na niewzruszonej pewności. I pan — zwróciła się do Józika niby żartobliwie, ale gniewnie — mężczyzna, głowa rodziny, a nie pomyśli, że trzeba mieć co najmniej dwa plany gotowe? Cóż to, w wojsku pan nie służył?

— Nie służyłem — wyjąkał Józik zastrachany, jak na egzaminie.

— Ale w konspiracji pan siedział po uszy, panie młody, powinien pan był jeszcze lepiej się nauczyć.

— Daj spokój — rzekła Marta znużonym głosem. — Rzeczywiście głupio wyszło, głupio i śmiesznie, ale człowiek tak głupio i śmiesznie żyje, bez żadnej rzeczywistości. Do pracy, z pracy, ale kiedy się żyje? Daj już spokój.

— To ty daj spokój metafizyce, Marcysia. Zarabiacie chociaż nieźle, oszczędzacie? Coś wspominałaś.

— Zarabiamy, a głównie właśnie oszczędzamy. Ja dorabiam trochę wieczorami, Józik też będzie, tylko jakoś to pchnie.

— Wiec jak najlepiej, i cóż tu narzekać! Grunt, że poprzestajecie na małym. No, będziemy się widywać, Marcysia? Zapomnij o tamtym, zresztą urządzicie się świetnie beze mnie. Kiedy się zobaczymy? Ty jeszcze nie masz pojęcia, z kim się zaręczyłam, nie wiesz nawet, że jak na wasze parszywe emigranckie stosunki robię fantastyczną partię. Wszystko opowiem... no i tyle przecie tematów, tyle wspomnień... — powtarzała, całując Martę w oba policzki. — Tyle, tyle nas łączy. Więc słuchaj: zejdźmy się w sobotę, ja już tu nie przyjdę, tylko zafunduję wam gdzie herbaty i pogadamy. Mój narzeczony wyjechał z interesami na kontynent, mam wakacje. Ugadamy się wreszcie po pas, zobaczysz, Marcysia.

(Dokończenie w następnym numerze)

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

Korowód kwiatów

Już się uspokoiły echa wielkiego tanka;
może opadły listowiem ścieląc się pod zegarami?
Właśnie gołębie krakuski przyfrunęły i na blankach
resztki ulewy wytarły jak pamięć.

Na to otwarto bramę. Wyszły z niej białe woły,
za chomątem — wóz kwietny: koła na osiach dźwięków.
Patrz i podziwiaj to corso, które się zaraz zapiękni
na rynku, gdzie odsłonięto dzień jak pomnik wesoły.

Oto Ariadna! Stokrocie czaru! Złote obrączki!
Oj, nie byłaby jak posąg, gdyby nie te promienie!
Śpi nad walką gigantów, we śnie usta swe łączy
z kimś, kto jak wiew jest obecny i wraz taki, jak śnienie.

Oto plan miasta, w kolorach egzotycznych a dusznych,
nad nim samolot jak Bakchus między skrzynkami z winem,
studenci w czapkach „pierogach" witają okno pod muszlą,
z makatą, którą w motyle wyhaftowała dziewczyna.

Oto okręt, z marmuru antycznego jak gdyby,
maszty dumne i żagle rycerski i królewski,
po drabince linowej wchodzą na statek ryby,
które w podróż zabiera sternik, Zodiak Niebieski.

Oto góry wysokie. Pośrodku jak gwiazda wśród liści
siadła bogini słońca na obnażonej skale,
koło sandału, na boku, źródło skrzy się kropliście
i nasyca pragnienie jak cysterna w upale.

Mija cię kwietny korowód, znika za gmachem w blankach,
chyba jeszcze powróci i zachwyty powtórzy.
Właśnie gołębie krakuski odfrunęły i na tankach
widać odznaki burzy.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Nowy list pasterski Prymasa Polski. Z okazji uroczystości Wniebowzięcia Matki Boskiej arcybiskup Stefan Wyszyński, Prymas Polski, ogłosił obszerny list pasterski, który odczytany został w kościołach archidiecezji warszawskiej i gnieźnieńskiej.

W liście Prymas zajmuje się przede wszystkim kultem Matki Boskiej w Polsce, a specjalnie ogłoszonym w ubiegłym roku dogmatem Wniebowzięcia. List zawiera szereg cytatów przemówienia Ojca św. Piusa XII podczas proklamacji dogmatu. Na zakończenie Prymas wzywa wstawiennictwa i opieki Matki Najświętszej dla Narodu Polskiego.

Filmowanie dokumentów. Papież Pius XII wyraził uznanie organizacji Rycerzy Kolumba w Stanach Zjednoczonych za projekt skopiowania na mikrofilmie dla badań uczonych amerykańskich dokumentów znajdujących się w Bibliotece Watykańskiej. Filmowaniem ma zająć się specjalna fundacja. Na założenie jej Rycerze Kolumba ofiarowali 150.000 dolarów.

Trędowaci ze schroniska Santa Teresa pod Florianopolis w Brazylii organizują na wolnym powietrzu wielkie przedstawienie „Męki Pańskiej"; około 200 trędowanych weźmie udział w wykonaniu przedstawienia; organizatorzy przewidują, iż około 5000 osób przybędzie na przedstawienie, które będzie można obserwować z pobliskiego wzgórza.

Na indeksie książek zakazanych umieszczona została praca o. Leona Seillera, O.F.M., o ludzkiej psychologii Chrystusa. Autor poddał się wyrokowi Stolicy Apostolskiej. Nie jest to pierwszy wypadek w historii Kościoła, że autor dzieła potępionego przez Stolicę Apostolską korzy się przed sądem Kościoła i uznaje przez to, że katolik może się mylić, ale winien uznać swój błąd, gdy na niego zwraca mu uwagę orzeczenie Stolicy Apostolskiej.

Narady katolickich i prawosławnych teologów pod auspicjami kardynała van Roey'a, arcybiskupa Malines, rozpoczną się w opactwie benedyktyńskim w Chevretogne. Przedmiotem narad będą sprawy dotyczące unii Kościołów wschodnich z Kościołem katolickim, przy czym wzięta będzie pod uwagę także rocznica 1500-lecia Ekumenicznego Soboru w Chalcedonie, z powodu której obecny Ojciec św. wydał specjalną encyklikę.

Prześladowanie Estonii. Bolszewicy wywieźli dotychczas z Estonii 70 procent miejscowej ludności i zastąpili ją ludnością azjatycką, sprowadzoną z głębi Rosji. W krajach bałtyckich bolszewicy zniszczyli prawie zupełnie religię chrześcijańską.

Prześladowanie religii na Litwie. Z okazji trzydziestej ósmej rocznej Konwencji „Rycerzy Litwy", katolickiej organizacji młodzieżowej w Ameryce, ks. prałat Józef Koncius dał wyczerpujące sprawozdanie o prześladowaniu i niszczeniu religii przez bolszewików na Litwie.

Z 2200 kapłanów pozostało jeszcze na Litwie zaledwie 200. Jedenastu biskupów zostało uwięzionych i wysłanych do obozów koncentracyjnych. Trzech z nich zmarło w obozach pracy. Sześć seminariów duchownych zostało zamkniętych. Większość kościołów bolszewicy zamienili na teatry i składy dla wojska. Otwartych na Litwie jest zaledwie kilkanaście kościołów. Są one obsługiwane przez starych i chorych kapłanów, którzy ograniczają się do odprawiania nabożeństw i udzielania Sakramentów św. Wszystkie kazania i przemówienia religijne są cenzurowane przez policję bolszewicką. Szereg księży zeszło w podziemia, skąd dalej prowadzi działalność religijną i patriotyczną.

Dzieci urodzone w niewoli. 1-go września rozpoczął się w Polsce nowy rok szkolny dla dzieci szkół powszechnych. Zamiast tradycyjnych nabożeństw w kościołach dzieci zgromadzono w salach szkolnych, gdzie wysłuchały przemówień radiowych, wygłoszonych przez ministra oświaty Jarosińskiego oraz innych pomniejszych politruków.

Prasa i radio poświęciły wiele miejsca rozpoczęciu nowego roku szkolnego. Nie ukrywają one radości, że w bieżącym roku rozpoczęło naukę około 300.000 dzieci, które urodziły się już w „Polsce ludowej". Reżym cieszy się, że te dzieci — urodzone w niewoli i okute w w powiciu — będą stanowić najpodatniejszy do skomunizowania grunt. W przemówieniu swym Jarosiński zapowiedział, że otwiera się nowa era i nowe pokolenie Polski będzie wychowane w ideologii komunistycznej dla zapewnienia budowania socjalistycznej Polski.

ROCZNICA KASPROWICZA

POETA POKORY

(Dokończenie ze str. 1)

z pokory, z wyrzeczenia się urzekających brzmień i słów jak miedź brząkająca.

Korzenie społecznej poezji Kasprowicza tkwią również w glebie jego religijności. Cała jego poezja jest albo moralistyczno-dydaktyczna albo moralistyczno-symboliczna. Zwykło się rozwój poetycki Kasprowicza ujmować w wykresy, a życie w etapy. Bez wątpienia nieczęsto rodzą się poeci tak się ciągle rozwijający, ale jednak w każdej fazie rozwoju i w każdym utworze Kasprowicza można odnaleźć tę samą naturę. Była to natura uczuciowa, stąd wrażliwa i zmienna w nastrojach. Kołaczkowski dopatruje się nawet dwoistości w naturze poety. To pewne, że wiara Kasprowicza idzie w parze od jego pierwszego do ostatniego wiersza z buntem. Kasprowicz bowiem szukał prawdy, lecz jej nie posiadł.

Społeczne idee poety mają korzenie w moralnych złożach duszy, ale moc i siłę przekonywującą czerpią także z urodzenia i osobistych przeżyć poety. Kasprowicz pozostał do końca życia wierny swemu rodzinnemu zagonowi i chłopskiej doli.

O wielcy i syci tej ziemi!
Cóż z wami łączyć mnie może,
Choć głodno spać się nie kładę,
Choć, miast barłogu, mam łoże?

Dalszy ciąg tego wiersza dowodzi, że świadomość społeczna Kasprowicza nie była nigdy klasową, lecz moralną. Taką jest ona w całej jego twórczości i dlatego zapewne Kasprowicz mimo proletariackiego pochodzenia nie wszedł na listę klasyków przedmarksistowskich w dzisiejszej Polsce.*)

Idee społeczne Kasprowicza można sprowadzić do chłopskiego poszukiwania sprawiedliwości.

Szczerze, lecz i z poczuciem dumy wyznawał Kasprowicz:
Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Szczerze — bo istotnie poezja Kasprowicza nie jest programowo patriotyczna. Nawet wielka wojna nie rzuciła na karty „Księgi ubogich" biało-czerwonych kolorów, lecz przysypała je popiołem troski o sumienia i ludzką powszednią dolę. Ale równocześnie poeta posiada dumną świadomość zarówno głębokiej miłości swej ziemi, jak i poważnego udziału w wysiłkach, by jej przywrócić wolność i nadać kształty polityczne tęsknotom ludu. Brał wszak udział w pracach patriotycznych w Wielkopolsce i na Śląsku w latach młodości, a później był do końca życia czynnym działaczem Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego.

Ale najważniejsze są jego wiersze. O Kasprowiczu wyraził się Przybyszewski, iż „przywrócił on ziemi jej metafizyczny charakter", Zygmunt Wasilewski zaś zanalizował przekonywująco mistykę związku poety z ziemią, organiczną łączność geniuszu ziemi z twórcą. Jeżeli Kasprowicz kochał świat, to w porządku jego miłości pierwsze miejsce zajmowała napewno ziemia ojczysta.

Kto nie ukochał swojej własnej ziemi,
Kto na jej ustach sercem nie zawisnął,
O, temu ogień miłości nie błysnął,
Ten i świat dłońmi obejmie zimnymi.

Żaden inny polski poeta w ciągu całych narodowych dziejów nie ukazał tak blisko, dokładnie i serdecznie ziemi rodzinnej, jak Kasprowicz. Wiersze jego wypełnione są kształtami, barwami, zapachami i dźwiękami wsi kujawskiej i podhalańskiej, natłoczone jak arka Noego stworzeniami i roślinami naszej ziemi. Poeta sypie obrazami ojczystej ziemi, jak siewca ziarnem. Pieści się rysunkiem a nawet nazwami roślin. Jak Wyspiański w malarstwie, tak Kasprowicz w poezji, jest odkrywcą żmijowców, dziewann, psianek, łopianów i szałwi.

Gdyby na zakończenie spróbować zamknąć twórczość Kasprowicza w jakimś lapidarnym określeniu, możnaby rzec, ża była to potrójna wierność: wierność Bogu, wierność człowiekowi i wierność ojczystej ziemi. Wierność z granitu. Wierch Lodowy poezji polskiej.

Jan Bielatowicz

*) Dotychczasowe zabiegi marksistów, aby z Kasprowicza uczynić swego proroka, spełzły na niczym. Życiem i twórczością poety zamuje się usilnie dr Tadeusz Mikulski, jeden z czołowych krytyków marksistowskich. Ogłosił on szereg rzekomo nieznanych źródeł o młodości Kasprowicza, które tak dalece odbiegają od dotychczasowej wiedzy o poecie, iż autentyczność ich budzi poważne zastrzeżenia.

OSOBLIWE MUZEUM

Harenda — jest to osiedle liczące trzydzieści kilka zabudowań gospodarczych, właściwie dzielnica Zakopanego, odległa od jego centrum o 4 km.

Na tle tego osiedla rzuca się w oczy pamiątkowy zakątek, poświęcony wielkiemu poecie Janowi Kasprowiczowi, jego mauzoleum i dom mieszkalny, zamieszkały obecnie przez wdowę po poecie, Marię Kasprowiczową, zwaną popularnie przez ludność góralską panią Maruśką.

Od r. 1945 tysiące ludzi odwiedza ten cichy zakątek. Masowe wycieczki młodzieży oraz wczasowiczów zastają zawsze otwarte drzwi tego domu. Przy olbrzymim ruchu uległ zniszczeniu zarówno dom jak i mieszkanie, które od 25 lat nie było remontowane. Wdowa, nie mając środków, nie mogła temu sama zaradzić. Ministerstwo Kultury i Sztuki, widząc istotny stan rzeczy, powzięło inicjatywę stworzenia na Harendzie muzeum imienia Jana Kasprowicza, na co się żona chętnie zgodziła. Ministerstwo daje na ten cel roczną subwencję, a p. Maria Kasprowiczowa jest kustoszem tego osobliwego muzeum i opiekunką mauzoleum.

Osobliwość muzeum na Harendzie polega na tym, że jest ono pozbawione muzealnej martwoty. Muzeum to obejmuje 4 pokoje, czyściutko i estetycznie urządzone, tak jak za życia poety. Zmiana jedynie ta, że wielka biblioteka (przeszło 4.000 książek) przeniesiona została do Poznania, gdzie odtworzono identyczny pokój z kominkiem, jak na Harendzie. Oprócz książek zostały tam przeniesione rękopisy Kasprowicza i inne pamiątki po nim. Niestety, jak wiadomo, spłonęło to wszystko podczas okupacji.

Pozostała tylko mała część książek na Harendzie i mieści się w dawnej bibliotece, która została o połowę zmniejszona i służy wdowie jako pokój mieszkalny.

Jestem szczęśliwa, iż spotkał mnie ten zaszczyt, że wolno mi często „pomieszkać" na Harendzie. Lokuję się w małym pokoiczku obok obszernej kuchni i patrzę przez zakratowane okienko, po prawej stronie na kościółek, po lewej na mauzoleum.

Historia nabycia tego domu, tej Kasprowiczowej „Harendy", jest bardzo zabawna i Kasprowicz lubił ją opowiadać. Żyjąc z pensji profesorskiej, poeta nie mógł sobie pozwolić na kupno domu. Po fakcie dokonanym, kiedy nabył dom od angielskiej malarki Miss Cooper — chwalił się, że wielki angielski pisarz Szekspir podarował mu ten dom. Rzecz miała się następująco. Kasprowicz tłumaczył wówczas dzieła Szekspira i wydawca wypłacił mu sumę, wystarczającą na kupno domu. Kasprowicz cieszył się tym domem zaledwie trzy lata i w nim zmarł. Pod koniec życia często wypowiadał życzenie, by mógł spocząć pod świerkami nad potokiem.

Dzięki ofiarności społeczeństwa stanęło mauzoleum, wybudowane przez zmarłego przed czasem architekta Karola Stryjeńskiego. Dzięki poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz zabiegom wdowy, istnieje od roku muzeum im. Jana Kasprowicza na Harendzie. Od chwili powstania muzeum w Poroninie prawie wszystkie wycieczki zwiedzające to muzeum i pomnik Lenina, w drodze powrotnej zatrzymują się i w muzeum na Harendzie.

Maria Ostrawicka-Skotnicowa

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Odznaczenie Claudela. Znakomity pisarz francuski Paul Claudel odznaczony został jednomyślną uchwałą francuskiej Rady Ministrów na posiedzeniu, które obradowało w Rambouillet pod przewodnictwem prezydenta Republiki, wielkim krzyżem Legii Honorowej. Autorowi „Partage de midi" i „L'Annonce fait a Marie" przyznano to odznaczenie zarówno za jego działalność pisarską, jak dyplomatyczną.

Kariera Claudela w służbie zagranicznej rozpoczęła się w r. 1893, kiedy został konsulem pomocniczym w Nowym Jorku. Spędza potem wiele lat na różnych placówkach: w Chinach, w Austrii i w Niemczech. W r. 1917 został ministrem pełnomocnym w Rio de Janeiro, a w r. 1919 w Kopenhadze, w r. 1922 ambasadorem w Tokio, w r. 1927 ambasadorem w Waszyngtonie i wreszcie w r. 1933 w Brukseli, skąd z powodu późnego wieku przeszedł w stan spoczynku.

Wielki krzyż Legii Honorowej nadawany jest bardzo rzadko. Od początku istnienia tego odznaczenia dostało wielki krzyż tylko 95 osób.

„The End of the Affair". Pod tym tytułem ukazała się zapowiadana nowa powieść Grahama Greene'a (Heinemann, cena 10/6). Jej zagadnieniem centralnym jest niszczący wpływ, jaki na życie człowieka i jego postawę moralna wywrzeć może czy nawet musi nadmierna żądza panowania nad bliskimi mu osobami. Bohaterem powieści (która pisana jest w pierwszej osobie) jest powieściopisarz Bendrix; zakochuje się on w żonie jednego ze swych przyjaciół, owa „miłość" jednak, nacechowana podejrzliwością, zazdrością i agresywnością, podobna jest raczej do nienawiści. Wszystko to razem łącznie z nieprawym charakterem tego stosunku, degraduje go do roli „afery" w angielskim znaczeniu tego słowa (stąd tytuł powieści).

Bendrix zazdrosny jest nawet o Boga, ku któremu zwracają się myśli bohaterki opowiadania, Sary, kiedy zostaje katoliczką. Sara umiera — Bendrix pośrednio przyczynia się do jej śmierci. Z ostatniego zdania książki zdaje się wynikać, że sam potem znajduje się na drodze do nawrócenia.

Recenzent „Observera" Edwin Muir zarzuca Greene'owi, że za daleko posuwa swą ekonomię słowa, przyznaje mu jednak mistrzostwo w charakteryzowaniu postaci powieści. „Sam Bendix — pisze Muir — jest postacią znakomicie wystudiowaną, być może najbardziej znamienną w całym świecie Greene'a".

Krytyk literacki „Sunday Timesa" L. P. Hartley podkreśla, że Greene jest owładnięty na wskroś uczuciami litości. Widzi on życie w kategoriach grzechu i cierpienia i tak ściśle kojarzy oba te pierwiastki, że są wprost trudne do rozróżnienia. W cierpieniu — sugeruje Greene — jesteśmy najbliżsi Chrystusowi."

Nowa powieść Greene'a — zdaniem Hartleya — budzi niepokój i ujarzmia, jeśli się ulegnie jej urokowi; jest to napój mieszany ręką mistrza. Londyn czasu wojny, bomby latające ponad głowami — oto doskonałe tło dla udręczonego umysłu Bendrixa. Ale później rozwój wydarzeń — kończy recenzent — trudny jest do strawienia."

Interesujące niewątpliwie będą głosy krytyków katolickich o nowej powieści Greene'a.

„The Listener" o książce Czapskiego. W „The Listener" z dn. 30 sierpnia pojawiła się recenzja książki Czapskiego „The Inhuman Land". „Jest to — pisze recenzent — dzieło artysty, o czym nam przypominają nie tylko osiągnięcia Czapskiego jako malarza, ale także godność i spostrzegawczość, jakie cechują książkę". Autorowi recenzji podoba się fakt, że Czapski pisze o Rosjanach bez nienawiści, a nawet pod wielu względami z podziwem.

Biografia Verdiego. Z okazji pięćdziesięciolecia zgonu znakomitego kompozytora włoskiego Giuseppe Verdi'ego profesor Carlo Gatti wydał dwutomową biografię Verdiego (Rzym, Mondadovi, cena 3.000 lirów).

Stulecie „New York Times". Czołowy polityczny dziennik Stanów Zjednoczonych „New York Times", odgrywający tam rolę podobną do roli „Timesa" w Wielkiej Brytanii, obchodził w tych dniach stulecie swego istnienia.

Zabytki przedhistoryczne i rzymskie w Wielkiej Brytanii. Ukazała się godna uwagi książka Jacquetty Hawkes „A Guide to the Prehistoric and Roman Monuments in England and Wales" (Chatto and Windus, cena 18/-). Jest to przewodnik, uwzględniający najnowsze wykopaliska i badania naukowe z tego zakresu.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

TALLULAH W LONDYNIE

Cała prasa londyńska poświęciła szczególnie dużo miejsca krótkiemu pobytowi w stolicy Anglii głośnej dziś aktorki amerykańskiej Talluli Bankhead.

Tallulah, artystka zdolna, ale odznaczająca się głosem raczej chrypliwym, występowała na deskach scenicznych w Londynie przez lat osiem, od r. 1923 do 1930, zdobywając sobie ogromną popularność zwłaszcza wśród kobiet. Z upodobaniem wybierała sobie role kobiet krnąbrnych i nieopanowanych, wojujących z prześladującym je otoczeniem. Sięgała też do sztuk „klasycznych", ale nie zawsze z powodzeniem; nie bardzo zwłaszcza udał się jej występ w „Damie kameliowej".

Udała się potem do Ameryki, gdzie z większym powodzeniem próbowała innych ról z repertuaru klasycznego. Po pobycie nad Tamizą wróciła znów do Stanów Zjednoczonych. Zarabia tam fantastyczne sumy występami w radio.

TELEWIZJA I POLITYKA

Rozwój techniki stawia wciąż nowe wymagania przed działaczami i mówcami politycznymi. Już od szeregu lat „radiofoniczność" głosu tego czy innego polityka mogła mieć poważny wpływ na jego popularność w masach, a tym samym i na jego karierę. Ostatnio jednak pojawiła się cięższa jeszcze próba w postaci telewizji.

W Stanach Zjednoczonych już od pewnego czasu politycy pojawiają się na ekranach telewizyjnych. Ostatnio wyzyskano do tego konferencję międzynarodową w San Francisco, poświęconą podpisaniu traktatu pokojowego z Japonią, przy czym, jak stwierdzają dzienniki, sekretarz stanu Acheson szczególnie dobrze wyszedł z tej próby, jeśli chodzi o telewizję.

Pisząc o tym „Observer" zauważa, że telewizja „robić" może popularność działaczom, którzy wcale nie są reprezentatywni dla swych ugrupowań politycznych. Tak np. do najbardziej popularnych przedstawicieli brytyjskiej Partii Konserwatywnej należy w obrębie swego stronnictwa Robert Boothby, a w Partii Pracy Michael Foot. Obaj są „gwiazdorami" telewizji, żaden z nich jednak nie jest szczególnie reprezentatywny dla swej parti.

Kto wie — dodaje „Observer" — czy urok, jaki posiada na ekranie telewizyjnym Miss Barbara Castle nie zapewni jej miejsca w egzekutywie Partii Pracy, choć jest „bevanistką".

NOWA OPERA STRAWIŃSKIEGO

Dnia 11 września BBC transmitowało z teatru Fenice w Wenecji operę Igora Strawińskiego „The Rake's Progress" wystawioną w ramach odbywającego się w tym mieście festiwalu muzyki współczesnej, który w tym roku był szczególnie świetny.

Jest to pierwsza pełna opera Strawińskiego, do której libretto napisał znany pisarz angielski W. H. Auden, od szeregu lat stale mieszkający w Stanach Zjednoczonych, przy współudziale Amerykanina Chestera Kallmana. Oparli się oni przy pisaniu libretta na dawniejszym utworze angielskim pod tym samym tytułem, którego akcja rozgrywa się w Londynie w XVIII wieku. Strawiński, który od dawna również osiadł w Ameryce i od r. 1939 nie był ani razu w Europie, tym razem przybył specjalnie do Wenecji, by dyrygować operą. Premiera jej była wielkim sukcesem.

Prasa brytyjska zamieszcza obszerne omówienie opery. Recenzenci angielscy woleliby oczywiście, by wystawiona ona została najpierw w ramach Festiwalu Brytyjskiego, skoro wątek jej jest pochodzenia angielskiego. Niemniej podkreślają oni tryumf Strawińskiego; zdaniem recenzenta „Sunday Times'a" Felixa Aprahamiana stworzył on „arcydzieło". Zwraca powszechną uwagę odwrót Strawińskiego od modernistycznego „atonalizmu", któremu hołdował w swych wcześniejszych utworach. „The Rake's Progress" — zdaniem recenzentki „Observera" Christiny Thoresby—stanowi „apoteozę klasycznej prostoty" w stylu Mozarta i „bezkompromisowy powrót do tonalizmu".

Na krytykę natomiast natrafia sama inscenizacja opery, której dokonał Carl Ebert. Zdaniem p. Thoresby dekoracje dalekie były od uchwycenia atmosfery londyńskiej w erze Hogartha.

NAGRODY I KONKURSY

NAGRODA NAUKOWA POLSKICH ODDZIAŁÓW WARTOWNICZYCH

Polskie Oddziały Wartownicze przy armii amerykańskiej w Europie postanowiły z okazji 6-lecia swego istnienia — ufundować nagrodę naukową w wysokości 200 tysięcy franków.

Uchwałę o ustanowieniu tej nagrody powziął jednogłośnie obradujący w Mannheim w dniach 18 do 21 lipca br. pod przewodnictwem płk Fr. Sobolty doroczny zjazd oficerów łącznikowych i dowódców kompanii.

Ustanawiając nagrodę naukową uczestnicy zjazdu w Mannheim pragnęli nawiązać do żywej w Polskich Oddziałach Wart. tradycji obowiązku wobec kultury narodowej a równocześnie zamanifestować uczucia głębokiego szacunku i czci, jakie społeczność wartownicza żywi dla nauki polskiej i jej twórców, którzy — mimo ciężkich warunków bytowania — nie zdradzili swego powołania.

Wykonując uchwałę zjazdu w Mannheim, płk Sobolta zwrócił się do prof. dra Tadeusza Brzeskiego, b. rektora Uniwersytetu Warszawskiego, piastującego obecnie godność prezesa Polskiego Twa Naukowego na Obczyźnie (Londyn), z prośbą o powołanie z grona członków Zarządu Towarzystwa sądu konkursowego nagrody i pokierowanie jego pracą.

Do powołanego przez Zarząd Pol. Towarzystwa Naukowego sądu konkursowego nagrody naukowej Polskich Oddziałów Wartowniczych, któremu przewodniczy prof. dr T. Brzeski, wchodzą: gen. dr Marian Kukiel, prof. dr Wacław Folkierski, prof. dr Stanisław Stroński, prof. dr Zygmunt Klemensiewicz, prof. dr Zygmunt Leliwa, prof. dr Adam Żółtowski.

Wręczenie nagrody nastąpi w dniu 11 listopada br.

KONKURS LITERACKI KLUBU POLSKIEGO W ARGENTYNIE

Klub Polski w Buenos Aires, realizując swój program kulturalny i pragnąc zachęcić pisarzy polskich, zamieszkałych w Argentynie, do kontynuowania swojej twórczości, ogłasza Konkurs na utwór literacki prozą (nowelka, opowiadanie, wspomnienie, essay itp.) z życia Polaków w Argentynie. Zdobywca pierwszej nagrody otrzyma dyplom honorowy oraz pesów 300.—. Wyróżnieni drugą i trzecią nagrodą otrzymają 100.— i 50.— pesów od „Głosu Polskiego". Trzy prace nagrodzone zostaną ogłoszone na łamach „Głosu Polskiego".

Udział w Konkursie może wziąć każdy Polak zamieszkały w Argentynie.

Z TEATRU

„SPRAWA MONIKI"

Jest publiczność i są krytycy, którzy z dużą przyjemnością oglądają wszelkie wznowienia starych sztuk teatralnych. Siedzi się wówczas — mówiąc słowami Boya-Żeleńskiego — jakby na meczu między autorem a rzeczywistością i liczy się na punkty. Jakie okaże się oblicze sztuki? Czy ujrzymy je poryte zmarszczkami, okolone rzadkimi, siwymi włosami, czy też młode, pomalowane rumieńcem życia, co wyrwie nam mimowolny okrzyk: „o, psinkość, ale się staruszka trzyma!"

Refleksje te nasunęły mi sie z okazji wystawienia przez Polski Teatr im. J. Słowackiego sztuki Morozowicz-Szczepkowskiej pt. „Sprawa Moniki". Pamiętam huczek, który wzbudziła swego czasu, gdy wystawiono ją w Instytucie Reduty w reżyserii p. Modrzewskiej, ówczesnej specjalistki od sztuk o wydźwięku feministycznym (na swoje nieszczęście reżyserowała później i najgorszą sztuczynę tejże autorki — ubożuchny artystycznie i myślowo „Typ A").

„Sprawa Moniki" wyrasta z zagadnień indywidualnych i społecznych dwudziestolecia i jego literatury kobiecej. Zaraz po pierwszej wojnie światowej w piśmiennictwie do głosu przyszły kobiety — i to nie tylko w Polsce. Od wspaniałej pisarki norweskiej Sigridy Undset, ogarniającej szerokim, mądrym spojrzeniem wiekuistą walkę człowieka z życiem i jego zasadzkami, aż do naszych grafomanek w rodzaju Ireny Krzywickiej, setki kobiet piszących opowiadały o doli swojej, o walce kobiety z losem i z mężczyzną, a także z własnym sercem. Opowiadały to głośno, czasami aż za głośno, i — jakby biorąc rewanż za wszystkie wieki zakłamania i pruderii — bardzo szczerze; tak szczerze, że graniczyło to z nadmierną otwartością, a nawet u mniej kulturalnych pisarek przechodziło w niesmaczny ekshibicjonizm.

Rzecz ciekawa: literatura polska tego okresu zawdzięcza sporo świetnych kart powieściowych kobietom, podczas gdy te same pisarki nie stworzyły ani jednej dobrej sztuki teatralnej. Boć przecież nie możemy uważać za arcydzieło ani „Egipskiej pszenicy", ani „Szofera Archibalda", ani „Sprawy Moniki". Poetka Pawlikowska, felietonistka Magdalena Samozwaniec, nawet powieściopisarka Gojawiczyńska nie mogą się równać z Zapolską. Dlaczego? Zastanówmy się nad tym właśnie na przykładzie „Sprawy Moniki".

Centralnym zagadnieniem tej sztuki jest kobieta XX wieku, o mózgu równowartościowym z mózgiem mężczyzny, kobieta pracująca twórczo — świetny architekt jak Anna, znakomity lekarz jak Monika. Ale w Monice tkwi w gruncie rzeczy kobieciątko, które pragnie kochać, dla którego macierzyństwo i małżeństwo są centralnymi sprawami świata. Serce nowoczesnej kobiety pozostało takie samo, nie wykształciło się jak mózg. Monika w braku dziecka otacza opieką i czułością mężczyznę — może głupca, na pewno niedołęgę i drania — ma swoje nieszczęście. Wyzwolić się można tylko przez cierpienie, przez samotne — jak mówi Anna — „tłuczenie głową o ścianę". Wtedy zrozumie się, że boleść serca nie jest katastrofą w życiu kobiety. I na przykładzie Anny, Monika musi zrozumieć ową ibsenowską prawdę, że „człowiek jest najsilniejszy, gdy stoi sam".

To jeden z problemów sztuki. Drugi — to opowieść o wielkiej solidarności kobiet, o nowym, jasnym świecie jaki zbuduje kobieta. O tym wspaniałym świecie mówi i mówi druga sztuka Morozowicz-Szczepkowskiej „Milcząca siła", którą jak najsłuszniej jeden z krytyków nazwał „gadającą piłą". Właśnie dziś, z perspektywy zamkniętego dwudziestolecia i innych sztuk Morozowicz-Szczepkowskiej widzimy wszystkie słabe strony „Sprawy Moniki", które wyrodziły się później w „Milczącą siłę" i w straszliwy „Typ A". Każda „pièce à thèse" jest niebezpieczeństwem i brana zbyt patetycznie trąci epoką Dumasa syna.

Od razu przychodzi nam na myśl trzeci akt „Moniki" — gadany, miejscami ciągnięty za włosy, antycypujący późniejsze tasiemcowe banały dziennikarki Ewy z „Milczącej siły". Melodramat, który stale wygląda zza kulis owej „Siły" (czy piły?), święci tryumfy i w „Sprawie Moniki" (rewolwerek, usiłowane samobójstwo, na szczęście szybko zaniechane). A naiwność, która doprowadza do absurdów w „Typie A", króluje i tutaj, gdy autorka zaczyna mówić o mężczyźnie, o tym mitycznym Jureczku, który — choć fujara jak rzadko — potrafi czerpać z torebki żony; ba, przecież ten niedołęga życiowy zdołał „złamać życie" wszystkim trzem bohaterkom sztuki. O zaiste, groźni są ci mężczyźni!

Takiej ilości gadaniny, banałów, melodramatu i naiwności dzisiejszy widz nie może strawić, choć sztuka ma pewien nerw sceniczny, uwydatniony w dwóch pierwszych aktach i dobre role. Role, ale nie ludzi! Gdyby to byli ludzie, ludzie z krwi i kości jak ludzie Ibsena, tego największego obrońcy kobiet, czy choćby Zapolskiej — widz czułby i rozumiał wyraźnie, że zagadnienie kobiety, jej marzeń i złudzeń, jej tęsknoty do kochania i dziecka, jej wojny i pokoju z mężczyzną — to zagadnienie naprawdę wieczne. Niestety, nie odczuwamy tego, oglądając sztuczkę Morozowicz-Szczepkowskiej. Musimy o niej powiedzieć, jak o starej znajomej: „ta staruszka gada wciąż o dawnych czasach, a tyle się na świecie zmieniło".

„Sprawa Moniki" zawdzięczała swe dawne powodzenie głównie grze aktorskiej. Bywalcy pamiętają zespół, który grał ją w Reducie: świetną Annę Zofii Małynicz, Monikę — Grywińską i kapitalną Zofię Mysłakowską. Z obecnych tu aktorek Helena Zelwerowicz stworzyła kiedyś świetną kreację architektki Anny.

Teatrowi im. J. Słowackiego należy się za „Monikę" sporo komplementów. Sztuka została starannie przygotowana i zagrana. To, że wzięły w niej udział dwie zawodowe aktorki z dużym doświadczeniem scenicznym ma swoją wymowę, zwłaszcza obecnie, gdy tylu amatorów bez żadnej techniki aktorskiej gra ważne role w różnych sztukach.

Mam trochę zastrzeżeń co do reżyserii. Niektóre rozwiązania sytuacyjne wydają się niefortunne (np. niepotrzebnie cofnięto w głąb scenę śniadania i sytuacyjnie nie wyciągnięto zupełnie zakończenia aktu II). Nie mogę też zgodzić się z postawieniem przez reżysera roli Anny. Jej ton kostyczny, podkreślony najniepotrzebniej w świecie okropnym kostiumem, nie pasującym zupełnie do epoki i atmosfery sztuki, robią z Anny jakąś „bas bleu", z którą rola niewiele ma wspólnego i od której daleka była ludzka, dobra i piękna Anna Zofii Małynicz. Właściwy ton i wysoką klasę aktorską objawiła p. J. Domańska najlepiej w trudnym, bo złym autorsko akcie III-cim. Drugi i trzeci akt p. Ustarbowskiej były znacznie lepsze od deklamowanego I-szego, a w niektórych momentach dyskretna, kulturalna gra tej aktorki osiągnęła duży poziom. Rola p. Korczak, która właściwie jest „samograjem", wypadła zupełnie pomyślnie — nie przerysowana w swej ordynarności dziewczyny z przedmieścia. Znać jednak, że są to pierwsze kroki młodej aktorki, która nie potrafi natychmiast po wejściu na scenę uchwycić tonu i typu roli; z gwary przedmieścia wpada w język inteligencki i potrzebuje sporo czasu, by się „rozkręcić" na scenie.

Dekoracje T. Orłowicza pomysłowe. Chyba nie jest jego winą, że wstawiono okropny tapczan, przypominający raczej katafalk. Już lepszy byłby napis: „tu łóżko".

(ps)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 30 września 1951

CUD WIEŻY BABEL

— Ja, mój drogi, jestem oczywiście katolik. To jest nasza polska tradycja,nasza wiara. Do kościoła chodzę i do Matki Boskiej Ostrobramskiej się modlę. Wierny jestem Matce Boskiej nie mniej niż Orłowi Białemu. Poza tym nigdzie nie ma tak pięknego humanitaryzmu jak w chrześcijaństwie. Ale nie możesz ode mnie wymagać, żebym brał dosłownie wszystko, co w Biblii napisane. Tam tyle baśni ludów prymitywnych, jak to nauka wykazała...

— No, na przykład jakichś baśni?

— No, jak tak znowu wszystkiego nie pamiętam, tyle tylko co się w pierwszej klasie Historii Świętej uczyłem, ale na przykład, o! taka historia z wieżą Babel. Zebrali się wszyscy ludzie ziemi i postanowili wybudować wieżę do nieba. Kiedy już byli całkiem wysoko, zaczęli z łuków, czy czego tam, dziurawić chmury i postrzeliwać aniołów. Więc Bóg, czy bogowie, przestraszyli się ludzi i pomieszali im języki. I stąd się biorą różne języki na świecie. Ha, ha, ha! Jeden profesor angielski, jakże mu tam? aha: Frazer już bardzo dawno udowodnił, że wiele ludów pierwotnych ma takie legendy tłumaczące wielojęzyczność ludzkości. Pewnie, pierwotni ludzie musieli sobie opowiadać bajki, bo nie znali natury i świata, ale my dziś, gdy glob ziemski tak się skurczył, że aby skończyć z ostatnim przeżytkiem barbarzyństwa, wojną, trzeba utworzyć, i na pewno utworzy się jeszcze za naszego życia, rząd światowy i imperium świata....

— I jeden język światowy...

— A jakbyś wiedział, najpierw wszystkie narody będą dwujęzyczne, bilingwialne jak to się mówi, a z czasem lokalne języki zanikną, jak teraz zanikają gwary miejscowe i będzie jeden język.

— Angielski czy rosyjski?

— Ach, ty masz zawsze takie koszmarne dowcipy. Rosyjski, też! Nie, nie wierzę w niewolę świata w okowach komunizmu. Nie wiem jaki będzie język, ale najprawdopodobniej angielski.

— Więc będzie, powiadasz, państwo światowe, rząd światowy i język światowy?

— No, jasne. Przecież bomby atomowe i chmury radioaktywne i plantacje mikrobów i fabryki gazów trujących i centrale naukowe i gigantyczne teleskopy i rakiety na księżyc i Marsa muszą być w jednym ręku.

— Czy pozwolisz, że ci opowiem, jak to będzie wyglądało?

— Naturalnie, każdy wie, że ty „masz gadane". Słucham, słucham.

— Więc słuchaj: po trzeciej wojnie światowej i jej zniszczeniach i odkryciach nastąpiło nie podpisanie pokoju ale podpisanie Konstytucji ludzkości. Powstał światowy urząd patentowy, światowa centrala policji, światowa Najwyższa Uczelnia, światowy fundusz badań naukowych, Bank świata, światowa centrala radia i telewizji, międzynarodowy fundusz filmowy, wreszcie światowe ciało prawodawcze, no i naturalnie najwyższy urząd kontroli rozbrojenia. Skrystalizowały się światowe ruchy polityczne i powstały uniwersalne ideologie. Oczywiście wszyscy mówili o wolności człowieka i swobodzie opinii. Powoli okazało się jakoś, że dostateczną siłę do obrony swoich opinii mają tylko największe centralne, światowe organy. Wytworzył się system, w którym rząd światowy zmieniał się dość regularnie w wyniku światowych wyborów, w których wygrywała jedna z dwóch światowych partii: demokratów wolnościowych lub demokratów równościowych. Gdy w jakiejś części globu powstawał nowy ruch polityczny, oskarżano go o ciasny nacjonalizm lub wręcz separatyzm. Dwie ekipy rządzące stanowiły właściwie jedną, gdyż kierowanie tak skomplikowanym i olbrzymim aparatem jak rząd światowy wymagało specjalistów trudnych do zastąpienia i kształconych w swoim dziale przez dziesiątki lat. W tej Republice Globu postanowiono zbudować nową godną świata stolicę.

— Gdzie?

— Gdzie chcesz, może być nawet, zgodnie z przepowiednią, że „Warszawa stolicą ustali się świata", to w mojej opowieści obojętne. W centrum tej stolicy zbudowano olbrzymi gmach, Capitolium Mundi. Głęboko w ziemi, w fudamentach, setki metrów pod powierzchnią złożono w kazamatach obszerniejszych niż Linia Maginota i bardziej niedostępnych niż Fort Knox najbardziej śmiertelne wynalazki i bronie, a wyżej wszystko złoto ziemi. Pod ziemią także umieszczono na pięciu piętrach archiwa policji politycznej pięciu kontynentów i zapasowe centrale telekomunikacyjne. Na parterze znajdowały się pomieszczenia parlamentu świata zajmujące powierzchnię 25 kilometrów kwadratowych. Nad nim dziesiątki pięter urzędów, połączonych setkami szybkobieżnych dźwigów. Od setnego piętra wzwyż zaczynały się lokale komitetów i klubów politycznych, obite ściśle izolującą materią gabinety bosów.

— Kogo?

— Powiedziałem: bosów. Mam na myśli marszałków, prezesów, ministrów, sekretarzy, interwenientów. Odróżniam ich od mistrzów, którzy mieli gabinety wyżej. Bo od sto dwudziestego piętra wzwyż znajdowały się loże. Zajmowały one od frontu trzydzieści trzy piętra, ale od zamkniętych podwórców połączone były konglomeratem schodów i wind i planu tej warstwy budynku nikt nie znał prócz Wielkich Architektów. Ponad lożami były biura, które tylko w pogodny dzień można było dojrzeć z ziemi, ponieważ normalnie znajdowały się już w chmurach. W biurach tych mieściła się Centrala Psychologiczna, Główny Urząd Telepatii, Centropsychoza, Biuro Testów Uniwersalnych, Studium Mózgu, Rozgłośnia Idei, Departament Kontroli Sugestii, Komisja Planowania Myśli, Centrum Wiedzy i Organizacja Woli Zbiorowej, wreszcie Wytwórnia Wiary. Ponad tą kondygnacją wzniesiono cztery wieże narożne i centralną kopułę. Jedna wieża była znana jako Wieża Helikopterów, druga jako Wieża Światowej Telewizji, trzecia jako Wieża Rakiet Międzyplanetarnych, czwarta jako Wieża Radaru Psychicznego. Pod kopułą centralną umieszczono Rząd Dusz.

— I z tego gmachu rządzono światem?

— Czy rządzono? Słowo „rządzono" nie oddaje należycie treści. Przetwarzano świat. Nikt nie śmiał, źle mówię, nikt nie wiedział, że można myśleć samodzielnie, a raczej każdemu się zdawało, że myśli samodzielnie gdy powtarzał myśli z Capitolium Mundi. Ludzkość była jednym narodem, ten naród miał jedną swoją wiarę i żył tym samym strachem i tymi samymi złudzeniami. Używano tych samych wyrażeń a treść ich zmieniała się zasadniczo w myśl planów Capitolium. Wszystkie prawa zaczynały się od formuły „W imię Człowieka".

— E, widzę, że ty lecisz na tych Amerykanów.

— Wcale nie lecę na żadnych Amerykanów. Powiedziałem ci, że Capitolium Mundi może stać nawet w Warszawie. Ktokolwiek osiągnąłby jedność językową i państwową ludzkości, musiałby dojść do zbudowania takiego Capitolium i do państwowej religii, do państwowego rządu dusz.

— Nieprawda! My, Polacy, byliśmy zawsze katolikami.

— Gdybyśmy byli jednym narodem globu, obejmującym świat, wprowadzilibyśmy kult Orła Białego na równi z kultem Matki Boskiej, słuchalibyśmy naszego papieża dopóty, dopóki nie potępiłby jakiegoś kroku sejmu czy rządu i staralibyśmy się zmusić kolegium kardynalskie do wyboru papieżem najpopularniejszego z naszych generałów. Księża z ambon czytywaliby Żeromskiego, Słowackiego, Sienkiewicza i Hemara a na bombach atomowych wyryte byłoby hasło „Za naszą wolność i waszą". Generalny inspektor sił zbrojnych otrzymywałby sakrę arcybiskupią a encykliki wymagałyby kontrasygnaty Prezydenta Rzeczypospolitej Ziemskiej. Każde państwo dąży do pełnej władzy na swoim terytorium. Rzymskie cesarstwo chrześcijańskie było dla religii katolickiej inaczej ale nie mniej niebezpieczne od cesarstwa pogańskiego. A przecież nie było naprawdę uniwersalne. Nieposłuszni cesarzowi chrześcijanie mogli uciekać do Armenii czy Irlandii i tam krzewić wiarę. Aparat jego był słaby a środki techniczne prymitywne. Kościół Powszechny może zachować swoją niezależność duchową od władz i prądów ziemskich dlatego, że są to władze a nie władza, jedna władza naprawdę rządzaca całym rodzajem ludzkim.

— Ale ja przerwałem ci twoją historię. Bardzo przepraszam.

— Moją historię? Aha. Już jest blisko końca. Otóż, kiedy już Capitolium Mundi było prawie ukończone i przystąpiono do pokrywania centralnej kopuły płytami z syntetycznego szkła izolującego od promieniowań kosmicznych, nastąpił fakt niepojęty. Robotnik układający płyty powiedział do swego pomocnika zamiast „another one" „noch eins". Tamten oburzył się „Czewo?" Na to kontroler przez telewizję zawołał: „Etes-vous fous?". Zrobił się rozgardiasz. Inżynier kierujący budową zaczął wykrzykiwać „Bismillah". telefonistka w centrali nic nie mogła zrozumieć, płacząc „O Dio mio" poplątała druty. Szef centrali elektrycznej chwycił się za głowę, mówiąc „nem tudóm". Ktoś krzyknął „Carramba", ktoś inny „Banzaj", Posłowie, urzędnicy, ministrowie, mistrze, bossy, mędrcy zaczęli się łączyć w grupy z tymi, których mogli zrozumieć. W olbrzymim gmachu podział poziomy na piętrach zastąpiony został podziałem pionowym na języki. Wkrótce zaczęła się walka wobec niemożności porozumienia. Walka objęła także strażników energii atomowej. Nie wiadomo jak się stało naprawdę, bo sprawa była przedmiotem wielu oskarżeń i wojen przez setki lat, ale pewnego dnia straszliwy wybuch w podziemiach zakołysał gmachem i sto górnych pięter runęło jak domek z kart. Wieża Babel się zawaliła.

— Jaka znów wieża Babel?

— Wieża Babel wieku dwudziestego. Opowiedziałem ci historię Wieży Babel wieku dwudziestego, żebyś zrozumiał, że historia tamtej wieży biblijnej wcale nie jest bajką ludu prymitywnego.

— Jakto nie prymitywnego? Oni nie znali nawet broni palnej.

Wojciech Wasiutyński

PO ŁEPKACH

MAPA EMIGRACJI

Duchowo jest jedna Polska, fizycznie są dwie: Polska rdzenna i emigracyjna, Polska osiadła i wędrowna. Polacy w światowej rodzinie narodów stanowią oczywisty fenomen: nie istnieje drugi naród, który by miał tak mocną krew, tak mocną głowę w podróżowaniu poprzez ziemski glob, taką wierność dla macierzystej przystani. Świat wedle Polaków, zbudowany jest polonocentrycznie: zaczyna się i kończy w Polsce. Wszystkie drogi Polaków prowadzą do Polski. Krew polska nie daje się rozcieńczyć, błędnik polskiej duszy nie da się obłąkać. Stalin, przyjmujac po ostatniej wojnie dyplomatów francuskich na Kremlu, wzniósł w pewnej chwili nieoczekiwanie toast na rzecz Polski, skierowany do ministra Palewskiego. Kiedy ten zdumiony odrzekł, że jest Francuzem, Stalin wygłosił z uśmiechem sentencję: „Kto się rodził Polakiem, Polakiem zawsze zostanie, aa."

Za najsilniejszą krew narodową uchodzi powszechnie żydowska. Może i słusznie, lecz mimo wszystko Polacy mają przewagę nad Żydami. Żydzi to bowiem tylko naród, Polacy zaś to naród i ziemia. Polacy posiadają konkretny kształt swej narodowej tęsknoty. W tym też leży zasadnicza różnica pomiedzy diasporą żydowską a wychodźstwem polskim. Żydzi nie mieli do tej pory (dziś mają już swe państwo) żadnego celu swej wędrówki. Polacy natomiast zawsze mieli swoją ziemię. Polacy poza tym wędrowali tylko tam, gdzie ich wzywano lub potrzebowano, niemal zawsze z zamiarem powrotu na własną ziemię. Polacy to są emigranci z zamiarem powrotu. Ten zamiar różni emigrację polską od wszelkich innych.

Może dlatego Polakom emigracja przychodzi tak łatwo. Stała się ona od półtora wieku instytucją narodową, normalnym zjawiskiem społecznym, powszednią czynnością jednostek. Toteż emigracja polska, zarówno polityczna, jak zarobkowa, jest niezawodną częścią narodu, organiczną jego częścią. Wprawdzie emigracja polska w Stanach Zjednoczonych posiada dziś w olbrzymiej części zdecydowaną świadomość amerykańską, ale procesy narodowe są długowieczne. Trudno przesądzić, czy nie nadejdzie kiedyś w dziejach taka chwila, kiedy Amerykanie polskiego pochodzenia poczną masowo wracać na ojczyzny łono.

Jednym z dowodów zamiaru powrotu i tymczasowości polskiej emigracji jest jej wieczny ruch. Jesteśmy właśnie świadkami masowych przesunięć naszej emigracji, doniosłych zmian na jej mapie.

Przede wszystkim poważnie chwiać się poczyna prymat duchowy emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Od roku 1940 do 1950 był on bezsporny. Po upływie dziesięciolecia, w roku 1951, duchowe siły Polski wędrującej zaczynają się terytorialnie rozpraszać. Nigdzie już tam, gdzie znajduje się większe skupienie Polaków, nie ma kulturalnej pustki; wszędzie powyrastały od dołu krzepkie ośrodki duchowe. W niektórych dziedzinach poczynają już one poważnie rywalizować ze skupieniem brytyjskim. Trwający właśnie znaczny ruch uchodźczy może niedługo doprowadzić do generalnych przesunięć na duchowej mapie Polski pielgrzymiej.

Po przywództwo duchowe emigracji wyciąga ręce skupienie Polaków w Stanach Zjednoczonych. Posiadając pod stopami żyzną i bogatą glebę polonijną i pomnażając dzięki szeroko otwartym wrotom imigracyjnym kadry nowych przybyszów, tamtejsza grupa polska nabiera wyraźnie zabarwienia inteligenckiego, jakiego tam dotąd nie posiadała. Trzystu profesorów polskich na wyższych uczelniach amerykańskich, tysiące studentów, siła kleru i klasztorów polskich z potężną placówką w Orchard Lake, doskonałe towarzystwa naukowe, znaczne możliwości wydawnicze, prasa polonijna, radio, biuro studiów i radiostacja Wolnej Europy, koniunktura polityczna na sprawy środkowo-europejskie zdają się być znakomitą bazą dla rozwinięcia szerokiej i głębokiej twórczości kulturalnej polskiej w Stanach Zjednoczonych. Niedługo może nadejdzie dzień, kiedy hegemonia duchowa emigracji politycznej przesunie się z Anglii do Stanów. Wszak na wyjazd czeka jeszcze ponad 20 tysięcy Polaków z Wielkiej Brytanii oraz spora grupa z Niemiec.

W Wielkiej Brytanii pozostanie około 120 tysięcy Polaków. Skupienie brytyjskie zmienia zwolna swoje oblicze z robotniczego na drobnomieszczańskie, kamieniczno-burżuazyjne. Świadczenia społeczne zatrzymują też znaczne zastępy ludzi starszych oraz inne elementy emerytalne. Zachodzi obawa, że skupienie brytyjskie będzie wykazywać coraz mniej potrzeb kulturalnych. Dziś już połowa produkcji książek i czasopism kulturalnych polskich w W. Brytanii wysyłana jest poza Kanał, a zwłaszcza poza Atlantyk. Dobrze zorganizowane wydawnictwa w Stanach Zjednoczonych mogą niedługo zadać śmiertelny cios placówkom polskim w Zjednoczonym Królestwie.

Rok 1951 będzie prawdopodobnie datą likwidacji skupienia polskiego w Niemczech (z wyjątkiem zdawna osiadłej Polonii westfalskiej) w związku z planem obdarzenia Niemców niepodległością. Jedyną realną siłą duchową są tam jeszcze poza garstką księży Oddziały Wartownicze, a raczej ich działalność kulturalna z „Ostatnimi Wiadomościami" na czele. Po odejściu Oddziałów Wartowniczych z Niemiec pozostanie tam zupełna pustka.

Ogólną tendencją emigracyjną jest dążenie do wielkich skupisk. Na tej podstawie można przyjąć, iż drobne grupy polskie w Holandii, Szwajcarii, we Włoszech, w Hiszpanii, Afryce Północnej i Ameryce Południowej (z wyjątkiem Argentyny) ulegną wkrótce likwidacji.

Na mapie emigracyjnej widać jeszcze cztery potężne skupiska polskie: Francję (oraz Belgię), Kanadę, Argentynę i Australię.

Francja, to dziwna zagadka. Żyje tam blisko pół miliona Polaków. Kraj jest tradycyjnie „drugą ojczyzną Polaków". Przebywa we Francji spora grupa wybitnych polskich twórców i intelektualistów. Istnieje szereg prosperujących ośrodków naukowych i kulturalnych. A mimo to życie duchowe polskie ma we Francji charakter wegetatywny. Być może jednak, że odrodzi się ono niespodziewanie i buchnie wysokim płomieniem twórczości. Są po temu we Francji wszelkie dane.

Wielkie ambicje i poważne osiągnięcia wykazują świeże skupienia polskie w Kanadzie i Argentynie. Powstały tam poważne czasopisma („Głos Polski" w Buenos Aires, „Gazeta Polska" i „Głos Polski" w Toronto), towarzystwa naukowe, kluby kulturalne, zrzeszenia artystów i oczywiście zawsze idące w awangardzie polskości skupiska parafialne. Aczkolwiek praca Polaków w Argentynie i w Kanadzie przynosi piękne wyniki, nie zanosi się na to, aby grupy tamtejsze mogły sięgnąć po przewodnictwo duchowe emigracji.

W Australii żyje obecnie ponad sto tysięcy Polaków. Życie organizacyjne i duchowe jest jeszcze w stanie fermentu i pączkowania. Ogólny kierunek tych wysiłków przypomina tradycyjny ruch polonijny w Stanach Zjednoczonych; idzie o ocalenie spraw najważniejszych — wiary Bogu i wierności ojczyźnie. Skupienie polskie w Australii, rekrutujące się z szerokich mas społecznych, nie wyda zapewne w najbliższej przyszłości wybitnych twórców i oryginalnych dzieł, może się jednak stać najlepszym odbiorcą wyprodukowanych gdzie indziej dóbr duchowych polskich. Wróżyć to można, zważywszy niewysoki poziom kultury duchowej gospodarzy.

Tak z grubsza przedstawia się mapa emigracji polskiej w chwili obecnej. Będzie ona ulegać dalszym zmianom, ponieważ Polacy wówczas czują się dobrze poza Krajem, gdy mają świadomość ciągłego ruchu, wiecznej przeprowadzki i pielgrzymowania do ostatecznej przystani: do ziemi ojczystej.

J. B.

LISTY DO REDAKCJI

Mgr Maria Danilewiczowa prosi nas o sprostowanie pomyłki, która wkradła się do nru 37(221) ŻYCIA, poświęconego pamięci Prof. Wacława Borowego, a który w dużej mierze zawdzięczamy Pani Mgr Danilewiczowej. Opracowane przez Nią artykuły winny nosić podpis „Mgr", a nie „Dr".

W czasie korekty wspomnianego nru ŻYCIA P. Mgr Danilewiczowa bawiła poza Wielką Brytanią.

»DZIATWA«

Już się ukazał wrześniowy numer miesięcznika dla dzieci p. n. „Dziatwa". Numer ten liczy 12 stron, zawiera urozmaiconą treść i jest pięknie ilustrowany. Cena 1 s.

Adres Redakcji i Administracji: 18-20, Queens Gate Terrace, London S. W. 7.

Z KRAJU

KU CZCI O. KOLBEGO

Dnia 15 sierpnia Niepokalanów obchodził 10-lecie śmierci swego założyciela o. Maksymiliana Marii Kolbego, męczennika oświęcimskiego. W imieniu Prymasa Polski w uroczystości wziął udział ks. biskup Z. Choromański, którego powitała wielotysięczna rzesza wiernych przybyłych z wielu okolic Kraju. Uroczystość rozpoczęła się uroczystą sumą, celebrowaną przez Ks. Biskupa, z wystawieniem Najśw. Sakramentu i procesją. Ks. bp Choromański przypomniał w swym przemówieniu, że o. Kolbe umarł w sam dzień Wniebowzięcia. Kazanie okolicznościowe wygłosił o. dr Albert Wojtczak, franciszkanin. Po błogosławieństwie wierni odśpiewali „Te Deum" i „Boże coś Polskę".

Po południu odbyło się oratorium ku czci Wniebowziętej i Jej rycerza, o. Kolbego. W oratorium brały udział chór, orkiestra i organy.

Na zebranych wielkie wrażenie wywołał zbiór pamiątek po o. Maksymilianie w budynku małego seminarium. Całość składa się z trzech pawilonów, z których pierwszy obrazuje pracę o. Kolbego w kraju dla szerzenia kultu Niepokalanej. W drugim pawilonie, tzw. japońskim, zamieszczono eksponaty z tego dalekiego kraju, w którym o. Kolbe założył Niepokalanów. Trzeci pawilon zawiera sceny z ostatnich chwil życia o. Maksymiliana w Oświęcimiu i fotografie dokumentarne.

PLACÓWKA NAUKOWA NA MAZURACH

Gdy Instytut Mazurski mniejwięcej dwa lata temu został zlikwidowany, na jego miejsce ustanowiono stację naukową Instytutu Zachodniego w Olsztynie. Instytut prowadzi ważne, różnorakie badania etnograficzne, historyczne i przyrodnicze na ziemi warmińsko-mazurskiej.

Od r. 1945 pracą tej placówki kieruje znana działaczka. Emilia Sukiertowa-Biedrawina, która jeszcze w okresie międzywojennym osiadła w Działdowie i tam pracowała czynnie nad repolonizacją Mazurów. Rok 1939 przerwał, oczywiście, tę pracę, a wielu działaczy (jak np. Seweryn Pieniężny) zginęło.

W r. 1945 pierwszą pracą Istytutu było kompletowanie biblioteki. „Białe kruki" wyrywano nieraz szabrownikowi z rąk, albo znajdowano je po prostu na śmietniku. Z cenniejszych egzemplarzy, jakimi szczyci się dziś Instytut, wymieńmy: „Nowy Testament" Wujka drukowany w r. 1593. inkunabuł „Vocabularium iuris" Octaviusa Scottusa z r. 1491, „Mały katechizm" Lutra drukowany w r. 1540 w Wittenberdze, Helwinga „Supplementum Florae Prussiae" z polskim słownikiem zielarskim, egzemplarz „Pana Tadeusza" z r. 1834 (własność Mrongowiusza), ponadto biblie i kancjonały ewangelickie drukowane „szwabachą" itd.

Obecnie współpracownicy Instytutu wyławiają materiały z gazet królewieckich dotyczące polskości Warmii i Mazurów, oraz ruchów rewolucyjnych XIX i XX w. (zwłaszcza rewolucji 1905 i 1918 r. w Niemczech). Sporządzono też zarys historii ludu warmińsko-mazurskiego od kolonizacji krzyżackiej do czasów obecnych. Przygotowuje się pracę o dziejach prawosławnej sekty filiponów, którzy po roku 1832 osiedlili się w powiecie mrągowskim. Wyniki tych badań mają być ogłoszone w roczniku Instytutu Zachodniego na r. 1951. Wreszcie najświeższa praca to zebranie podań, bajek i legend mazurskich przez E. Biedrawinę.

(„Tyg. Powszechny")

Jak co roku, miesiąc wrzesień poświęcony został w całym Kraju sprawom odbudowy i budowy Warszawy. Wszędzie przeprowadzono zbiórki na Społeczny Fundusz Budowy Stolicy.

Nowy konkurs literacki został ogłoszony przez ministerstwo kultury i sztuki i Związek Literatów Polskich. Tym razem jest to konkurs na pomysły libretta: operowego, operetkowego i baletowego.

Na 75-lecie śmierci Al. Fredry. „Biuro Obchodów Artystycznych" przygotowuje akcję odczytową. Przewiduje się również inscenizacje utworów Fredry przez zespoły amatorskie.

Festiwal filmów węgierskich odbył się we wszystkich miastach we wrześniu. Wyświetlano najnowsze dzieła węgierskiej kinematografii.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Centre.** Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17;** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh.** Wszelkie wpłaty przesyłać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na **Veritas Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1; w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawiecielstwo „Libreria Polaca", Av Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo maja „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza" Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel: PAD 9734.